POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. *Dnia 7-go września 1940r.* **Rok II. Nr. 26**

PLON ROKU

Mamy za sobą rok tej osobliwej wojny, która przebiega w liniach i zygzakach dla większości niespodziewanych. Przeszedł pierwszy rok konfliktu, w którym Polska odegrała rolę całkiem niezwykłą, rolę, którą historia oceni kiedyś lepiej i pełniej, aniżeli to ocenić mogą ludzie stojący zbyt blisko zdarzeń wrześniowych, ludzie szarpani uczuciami niepewności, wyrzutów sumienia i pytań: "dlaczego tak się stało?"

Ten pierwszy rok wojny stał niewątpliwie pod znakiem olbrzymiej likwidacji złudzeń. Wyobrażano sobie tę wojnę inaczej. Gdy staramy się wniknąć dzisiaj dlaczego tak się stało, dlaczego nie potrafiliśmy sobie uprzytomnić przebiegu tej wojny i przewidzieć jej charakteru i rozwoju, to z męską szczerością powiedzieć musimy, że ta nie-świadomość czy ślepota miała źródło w dwuch faktach: ta Europa, która miała zasoby i sposoby na uzbrojenie się po zęby i na przygotowanie się do śmiertelnego starcia, ta Europa wojny nie chciała, a kiedy wojna zawisła nad nią nieuchronnie usiłowała sobie przedstawić tę wojnę jako znacznie łatwiejszy zabieg—ta Europa i te energie, które mogły się przeciwstawić niemieckiej maszynie, nie były odpowiednio uzbrojone, były biedne, niezasobne. I w tym właśnie tkwi największy tragizm tego roku, że biedna i niezasobna Polska, pełna wiary w słuszność sprawy, rzutowała swoje nadzieje na państwa Zachodu w przekonaniu, że czują one tak samo jak Polska, mają tę samą gotowość i tak samo szeroko otwarte oczy na znaczenie tego co się wokoło nas dzieje.

Czemu przypisać ten błąd w rachunku, nad którym zastanawiać się musi każdy uczciwy publicysta i każdy uczciwy obserwator tragicznego i poszarpanego w jakieś niesamowite fragmenty pierwszego roku wojny? Polega ono niewątpliwie na tym, iż Polacy byli tak uczuciowo przywiązani do Zachodu, a zwłaszczą do Francji, iż nie widzieli a raczej nie chcieli widzieć tych zmian, które we Francji zaznaczały się nie od dzisiaj, tego nastawienia, które napędzało niepokój w serce każdego, co oglądał wypadki lat ostatnich i zestawiał nastroje Niemiec z nastrojami Francji. Nie mogliśmy wyobrazić sobie, ażeby Zachód nie *widział* tego wszystkiego, co widzi mała i niezasobna Polska i aby Zachód był aż tak dalece nieprzygotowany moralnie do konfliktu, który był rzeczą nieuniknioną nie od dzisiaj i nie od wczoraj, ale właściwie od chwili zjawienia się dyktatur w Niemczech i Włoszech.

Nie znaczy to, aby Polska pozostawiona swojemu losowi we wrześniu roku ubiegłego chciała swoim sojusznikom czynić z tego powodu wyrzuty. Instynktownie rozumiano u nas, że niemiecki sztab generalny unika za wszelką cenę wojny na dwuch frontach i że zatym nawet krótka kampania polska powinna być wyzyskana dla uderzenia Zachodu na Rzeszę. Padło pierwsze złudzenie: Rzesza zlikwidowała front wschodni, dokonała tej sztuki, o którą oddawna jej chodziło,—rozłożenia wojny na raty, kawałkowania operacyj wojennych.

Gdy pojawiła się szansa norweska myślano, że urodzi się front północny, który oskrzydli Rzeszę z jeszcze jednej strony. I to złudzenie zostało rozbite. Gdy 10-go maja ruszył front zachodni w państwach sympatyzujących ze sprawą Wielkiej Brytanii i Francji wzbudził się odruch, że nareszcie przyszła ta szansa, która pozwoli na wyrównanie poprzednich strat i wykaże, że maszyna niemiecka posiada swoje luki i braki i że nie jest siłą, która działać może w Europie z olbrzymią dozą bezkarności. Przypuszczano, że da się wytworzyć na polach Francji jakąś linię frontu, która osadzi w miejscu zmechanizowane parcie niemieckie i udowodni, że wojna nowoczesna nie jest tylko kwestią maszyn, ale że z dawnej strategii pozostały jakieś składniki i elementy o sensie i znaczeniu aktualnym dla wojny obecnej.

I to złudzenie rozpadło się. Front zachodni nie zdołał się w ogóle wykrystalizować, nowa strategia wojenna, wyśmiewana przez zbyt wielu fachowców wojskowych, zastosowana została w całej rozciągłości.

Likwidacji złudzeń natury wojskowej towarzyszył niepokojący zanik złudzeń natury moralnej. Dla Polski, która wykazała tyle odwagi było rzeczą niezrozumiałą, że wojna obecna jest tak ogromnym pokazem niechęci walki, unikania walki, wykręcania się od niej, które oglądać można było w rozmaitych państwach europejskich. Tchórzliwa kapitulacja stała się jakby punktem programu tej wojny, która rozgrywa się nie tylko na planie działań wojskowych, ale w olbrzymiej mierze na planie duchowym. System zastraszania, który opanowany został tak doskonale przez państwa faszystowskie, działał dalej w ciągu wojny i wspomagał walnie operacje wojskowe. Nieprzyjaciel, który chlubił się i chlubi posiadaniem straszliwych sił zbrojnych, dbał jednak wszędzie, gdzie się dało o to, aby oszczędzić sobie wysiłku i aby wynaleść zdrajców i Quislingów, otworzyć sobie drzwi podrobionymi kluczami—jednym słowem prowadzić wojnę, gdzie podstęp luzuje brutalne uderzenie, a propaganda naloty powietrzne.

Dopiero dzisiaj po roku wojny zdajemy sobie sprawę z jej istoty i charakteru. Dopiero dzisiaj Anglia wyciąga nauki z kampanii polskiej i codziennie niemal odkrywa na własnym terenie nowości i osobliwości, które rok temu w Polsce zostały podane po raz pierwszy w takiej formie, że świat nie chciał tego uznać i traktował je ustawicznie z olbrzymią szkodą dla siebie jako wymysły polskiej wyobraźni.

Odarci ze złudzeń, którymi nas karmiono i które sami tak długo pielęgnowaliśmy,—albowiem nie chcieliśmy się pogodzić z faktami odpychającymi dla naszej natury—wiemy dzisiaj, czym jest nieprzyjaciel, który sięga po rządy w Europie i dlatego odnosimy się niechętnie do wszelkiego łatwego optymizmu i do budowania nowych złudzeń wokoło czego krzątają się ci lub inni propagandyści. Zdajemy sobie sprawę, że wygranie tej wojny będzie olbrzymim trudem i że wykazać w tym trudzie trzeba będzie przede wszystkim wyobraźnię i przewidywanie, których zabrakło na długie lata przed wojną. Tylko śmiałe i wielkie plany mogą wyważyć tę potęgę z zawiasów i stworzyć moment, kiedy obrona i defensywa automatycznie się skończą i kiedy akcja zaczepna na kontynencie Europy stanie się czymś koniecznym. Już dzisiaj w Anglii, kraju swobodnej dyskusji i męskiego przyznawania się do win i głupstw, dyskutuje się pytanie, jak ma wyglądać owa ofensywa, zarówno materialna, jak moralna, ofensywa oręża i myśli w stosunku do kontynentu europejskiego. Już dzisiaj odważni pisarze Wielkiej Brytanii wołają, że, aby ta ofensywa udać się mogła, należy przepędzić z wszystkich zakamarków zaśniedziałe sposoby myślenia, starych ludzi i stare myśli, złudzenia fabrykowane przez osoby trzymające się kurczowo dawnych metod.

Dopiero w tej atmosferze całkowitej szczerości i odwagi myślenia narodzić się może wizja prowadzenia tej wojny, plan zaczepnej kampanii, program zbuntowania Europy, idea wywołania fermentu i niepokoju na kontynencie europejskim. Bez pożegnania się z dawnymi złudzeniami nie ma mowy o tworzeniu nowego świata i nowej rzeczywistości.

Anglia, jako kraj realizmu ma wszelkie dane na to, aby tego rodzaju wizję stworzyć i aby przemyśleć do końca plan zarówno wojny, jak pokoju dla Europy. Wielka Brytania uprzytomniła sobie dzisiaj w pełni zaniedbania własnej przeszłości, trudności teraźniejszości i powagę problemów przyszłości. Wie ona doskonale, że musi wciągnąć w orbitę tej wojny nowe czynniki, a przede wszystkim Stany Zjednoczone, aby wojnę tę skutecznie wygrać i aby móc planować pokój na skalę prawdziwie światową. Anglia nie sądzi jednak dzisiaj, aby Ameryka przystąpiła do wojny tylko z sympatii dla pobratymczej rasy. Wie ona, że Ameryka przystąpi do wojny przede wszystkim dlatego i wtedy, kiedy przekona się naocznie, że Anglia jest na prawdę twierdzą, że potrafi walczyć z przejęciem i zaciekłością. Ameryka ocenia dobry wyczyn i dlatego oceni na pewno kampanię, która rozwija się obecnie na razie w powietrzu u wybrzeży Anglii i nad hrabstwami tego kraju.

Drugi rok wojny, który rozpoczyna się pod znakiem zmagań powietrznych, nacechowany będzie napewno tym realizmem, którego brakowało pierwszemu rokowi wojny, rokowi likwidacji złudzeń i rozpadnięcia się rozmaitych wygodnych miraży. Przemiany, jakie dokonały się w myśleniu angielskim w ciągu ostatnich tygodni, są poważne i głębokie. Kładziemy na nie nacisk i akcent właśnie dlatego, że od usunięcia złudzeń, od stworzenia nowego pojęcia wojny i działania, od rzucenia światu nowych myśli i planów uzależniać należy w olbrzymiej mierze losy tej wojny. Wygrywa ten, co sięga dalej, co widzi jaśniej, kto dąży do wydobycia ze siebie maksimum wysiłku i kto gardzi zarówno wygodą myślenia, jak działania.

Ta odwaga myślenia stworzy dopiero podstawy dla operacyj i działań, jakie podejmie Anglia. Myślenie stanowi w tej wojnie czynnik zasadniczy, nieodzowny, a najbardziej zmechanizowana wojna nie potrafi wyrugować celowości, planu i wizji, które rządzą zarówno wojną jak pokojem.

Zbigniew Grabowski

Rozkaz Naczelnego Wodza Do Polskich Wojsk Lądowych, Sił Powietrznych i Marynarki Wojennej

Żołnierze! Rok mija od chwili, gdy wróg, łamiąc wszelkie prawa i obyczaje międzynarodowe, uderzył w sposób niecny a zdradliwy na Polskę.

Naród Polski, choć zamiłowany w pokoju, podjął bez najmniejszego wahania narzuconą mu nierówną walkę. Uzbrojony słabo i niedostatecznie, wystąpił z orężem w ręku w obronie niezależnego bytu, wznosząc wysoko sztandar wolności. Aż do starcia Niemców z Anglikami stawił pierwszy i jedyny opór bezwzględny najeźdźcy. Bił się nieustraszenie z hitlerowskimi Niemcami, których sił—aż do kapitulacji Francji—nie docenił świat.

Żołnierz Polski, prowadzony przez swych bezpośrednich dowódców, z podziwu godnym męstwem i sprawnością przeciwstawił się twardo nawałom hord germańskich. Przyznają to sami Niemcy, ten mało rycerski przeciwnik, zaliczając kampanię polską do najcięższych, a wojska własne, które brały w niej udział—do najlepszych.

I znowu do sławnych w historii oręża polskiego bitew przybyły nowe chlubne karty, jak bohaterska obrona Warszawy, Helu, Westerplatte oraz ciężkie boje pod Lwowem i Kutnem.

Armia Polska, gdyby była lepiej przygotowana dowodzona zdecydowanie i celowo, mogłaby się bić długo. Walczyła ona po bohatersku, aż do chwili, w której ugodzona podstępnie w plecy od Wschodu, uległa przemocy. Jeszcze przez długie miesiące na ziemiach Polski tliły się ogniska walki, skupiając najdzielniejszych synów Ojczyzny, którzy nie chcieli i nie chcą pogodzić się z jarzmem niewoli.

Kraj, rozdarty na części, skrwawiony i wyniszczony, stał się łupem najeźdźców. Zaborcy w sposób zwierzęcy i wyrafinowany starali się wytępić wszystko, co mogło stanowić siłę i moc Narodu.

Tragiczne dzieje tego okresu ciężkich prób i zmagań nie zdołały jednakże złamać podstaw moralnych i zabić w duszy Polaków wiary w przyszłość. Zdrowy instynkt Narodu wyczuwał potrzebę dalszej walki o prawo do bytu i wolności.

Dzisiaj wolne narody patrzą z podziwem na Polskę, w której nie było i nie ma zdrajców. Kraj trwa do chwili obecnej na posterunku, broni się nadal, choć na innej płaszczyźnie, przed najeźdźcami, pomimo straszliwych cierpień i niezliczonych ofiar.

Dla nas, ta wspaniała postawa Kraju jest zrozumiała sama przez się. Kto znał Naród Polski, jego głęboki patriotyzm i religijność, jego ofiarność i zdolność do poświęceń, jego tradycje i historię ten wiedział, że Niemcy mogą opanować przejściowo ziemię Polaka, ale nigdy nie zawładną jego duszą, jego sercem i myślą.

Gdy po załamaniu się Francji nic się nie zmieniło w Polsce, Niemcy, zawiedzeni w swych nadziejach na odrębny rząd w Warszawie, zaostrzają kurs na terytorium "Generał-Gubernatorstwa Warszawskiego." Tym większe obowiązki nakłada na nas to nowe votum zaufania Kraju do legalnego Rządu i Armii.

Wojsko Polskie, sformowane w warunkach jak najcięższych we Francji, ten obowiązek wypełniło chlubnie.

Na polach bitew w Norwegii, czy w Francji,—żołnierz polski jeszcze raz objawił światu, że się nie załamał i nie uległ. Wierny swej Ojczyźnie i hasłom honoru bije się po bohatersku, za wspólną sprawę, sławiąc imię Polski. Świeci przykładem hartu ducha, niezłomną wiarą w ideały, o które walczy, stwierdzając ją czynem i własną krwią. Zyskuje szacunek powszechny u obcych za swoją rycerskość, ze swoje cnoty wojenne, za to, że zawsze ostatni schodził z pola walki, dochowując wierności danemu słowu jako sprzymierzeniec do końca.

Tę drogę żołnierskiego obowiązku wskazał nam Naród. Weszliśmy na nią bez wahania i wytrwamy. Inna byłaby, być może, łatwiejsza, lecz nie doprowadziłaby do tego uznania, jakim się dzisiaj cieszą polskie siły zbrojne oraz Sprawa, której bronią.

Kapitulacja Francji zmieniła zasadniczo oblicze wojny. Wyeliminowała ona siły lądowe Koalicji z rozgrywki na kontynencie. Usunęła chwilowo naszego naturalnego sojusznika francuskiego z walki. Wszystko to rozumieliśmy doskonale w momencie przełomu, lecz nie zawahaliśmy się ani na sekundę, gdyż wchodził podówczas w grę wysiłek dalszy oraz jego ciągłość na rzecz wyzwolenia Ojczyzny.

W dniu dzisiejszym, jako w rocznicę najazdu zbrojnego Niemiec na Polskę, oddajmy cześć najgłębszą cieniom Tych Żołnierzy, co w walce z wrogiem życie swoje oddali. Ich krew serdeczna, przelana w szyku bojowym czy na posterunkach cywilnych nie poszła na marne. Stała się ona spoidłem dla nas w walce nieustającej aż do zupełnego zwycięstwa. Idziemy do niej zjednoczeni zaufaniem wzajemnym, które w wojsku odbudowali całkowicie wybrani przeze mnie dowódcy. Idziemy do niej z myślą o Rodakach nieugiętych w Kraju, z myślą o naszych towarzyszach broni, co znoszą hardo ciężką dolę w obozach jeńców, czekając na godzinę wyzwolenia.

Razem z Wielką Brytanią bijemy się o zwycięstwo prawdy, prawa i sprawiedliwości. Hitlerowski "Blitzkrieg" okazuje się tym razem niemożliwy. Trzeba będzie Niemcom podjąć wysiłek długodystansowy, zarówno w materialnym, organizacyjnym, jak i moralnym słowa tego znaczeniu. A rezultat ostateczny takiego pojedynku, przeprowadzonego z energią i determinacją brytyjską—nie może podlegać wątpliwości. . . .

Żołnierze,—korzystajmy z okazji, którą wyznaczyła nam Opatrzność i jaką nadarzyły nam dzieje. Pogłębmy stosunek Narodu angielskiego do wielkiego w swym bohaterstwie Narodu polskiego. Ugruntujmy zaufanie Anglików i Szkotów do Polaków. Przyswajajmy sobie znane i trudne do naśladowania cnoty rasy anglosaskiej. Zdobyte tym sposobem zaufanie do Polski rozstrzygnie o Jej przyszłej roli kierowniczej w Europie Nowej, której wizję stawia przed oczyma udręczonych ludów Imperium Wielko-Brytyjskie.

Gen. Sikorski przewidział tę wojnę

Jest rzeczą cenną zapoznać ogół czytelników "Polski Walczącej" z poglądami Naczelnego Wodza, generała Sikorskiego na temat wojny nowoczesnej. Poglądy te zostały wyrażone na parę lat przed wojną w książce wydanej we Francji w roku 1935 pod tytułem "*La guerre moderne*" (Wojna nowoczesna). W dziele tym generał Sikorski przewidział nieuniknioną wojnę z Niemcami, jak również wszystkie metody jej prowadzenia przez Niemców jako wojny totalnej z użyciem broni pancernej i lotnictwa. Dzieło to jest oparte na studium rozwoju sytuacji międzynarodowej, na doświadczeniach z ostatnich wojen oraz na bogatej literaturze.

W rozdziale wstępnym pod tytułem "Czy wojna jest możliwa" autor na podstawie całej polityki zagranicznej Niemiec oraz doktryny narodowego socjalizmu dochodzi do wniosku, że wojna jest nieunikniona. Niemcy po wojnie światowej reprezentują ten sam nieprzejednany imperializm, jak i za czasów Wilhelma; sztab generalny niemiecki został, jak dawniej czynnikiem o wielkim znaczeniu w polityce zewnętrznej, najwybitniejsi generałowie Reichswehry, jak gen. v. Seekt i Hammerstein są wielkimi zwolennikami współpracy wojskowej z Sowietami. . . . Było sprzeczne z logiką sądzić, że państwa totalne mogą wierzyć w możliwość rozwiązania spornych spraw ze swymi sąsiadami jedynie na drodze pokojowej. Niemcy, które od pokoleń gloryfikują wojnę jako dowód i wyraz potęgi narodowej, po otrząśnięciu się z klęski w 1918 r., z całym rozmysłem zabrali się do odbudowy swojej potęgi militarnej, która miała być narzędziem do urzeczywistnienia ich celów politycznych. Tej ustawicznej ekspansji niemieckiej, odbywającej się w nastroju histerycznego podniecenia całego kraju, zamienionego na jeden wielki obóz wojenny, autor przeciwstawia politykę ustępstw i ugody Francji. "*Pas de guerre, pas des armements*"—(Żadnej wojny, żadnych zbrojeń)—oto było hasło opinii publicznej, która swoją niechęcią do wojny ciążyła na decyzjach francuskich polityków i rządu.

Po omówieniu w rozdziale "Europa w stanie oblężenia" rozbudowy armii niemieckiej, na podstawie danych do 1935 r. (od tego czasu rozbudowa jej poszła kolosalnie na przód) autor dochodzi do wniosku, że Niemcy przygotowują się do wojny w sposób gorączkowy. Wojna ta wedle wyobrażeń Niemców ma być krótka—"Blitzkrieg," rozpoczęta gwałtownym natarciem wojsk wyborowych z użyciem wielkiej ilości broni pancernej i lotnictwa; lotnictwo ma swoim działaniem sparaliżować w zarodku mobilizację i koncentrację nieprzyjaciela, ułatwiając w ten sposób zadania armii lądowej.

W tymże rozdziale Gen. Sikorski stwierdza, że Niemcy podobnie, jak i za czasów Schlieffena stoją przed perspektywą wysoce dla nich niedogodnej wojny dwufrontowej. Na wschodzie Polska wspólnie z Czechosłowacją mogłaby odegrać tę rolę, jaka przypadała w czasie wojny światowej Rosji. Innymi słowy, Generał Sikorski, uważał w przeciwstawieniu do naszej ówczesnej polityki zagranicznej, współpracę wojskową z Czechosłowacją jako rzecz realną i wysoce pożądaną. Autor wskazuje zabiegi polityki niemieckiej, dążącej do wygrania braku należytej spoistości pomiędzy jej sąsiadami a ewentualnymi przeciwnikami. Omawia zręczną grę dyplomacji niemieckiej; ma ona na celu polityczne odosobnienie Polski, i zorientowanie jej w kierunku wschodnim, rysując przed oczami jej polityków miraże podbojów na wschodzie, aby w międzyczasie opanować ziemie zachodnie. Ostrzega polityków polskich przed wiązaniem się z Niemcami, których lojalność niczym nie odbiega od dawnych metod krzyżackich i pruskich.

Aczkolwiek niektórzy teoretycy wojskowi i politycy niemieccy wierzyli w umiejscowienie konfliktu zbrojnego (poglądy te były jeszcze wyrażane przez Niemców w chwili rozpoczęcia wojny z Polską) autor uważa, że już sama treść wypowiedzeń Hitlera w "Mein Kampf" wystarcza do tego, aby postawić całą Europę w stan pogotowia wojennego. Jakże bez echa, niestety, pozostały te przestrogi pisane już wtedy, gdy Hitler stawiał zaledwie swe pierwsze kroki jako kanclerz III Rzeszy. . . .

W drugiej części książki, zatytułowanej "Armia nowoczesna," generał Sikorski stwierdza, że podstawą nowoczesnej armii, jest jej odpowiednie wyposażenie w sprzęt i to jak najbardziej nowoczesny—w związku z postępem technicznym, metody prowadzenia wojny powinny ulegać stałej rewizji. Autor ostrzega przed stosowaniem rutyny i metod opartych jedynie na doświadczeniach wojny światowej bez brania pod uwagę stałego postępu technicznego.

Już samo przygotowanie armii niemieckiej do ofensywy, daje jej od razu wyższość nad armiami, przygotowywanymi jedynie do defensywy—armiami "rozbrojenia." Omawiając cechy przyszłej organizacji armii, autor wyraża przekonanie, że użycie sprzętu potężnego i bardzo różnorodnego stanowić będzie cechę przyszłej wojny: przewiduje on motoryzację armii w wielkim stylu, co w wyniku zapewni jej wielką ruchliwość operacyjną i taktyczną oraz elastyczność manewru—w szczególności liczy się autor z użyciem wielkich ilości broni pancernej. Na podstawie doświadczeń kampanii w Syrii i Maroku, widzi je w formie zagonów na flanki lub tyły nieprzyjaciela rzucanych daleko w głąb terytorium. Kampanie w Polsce, a następnie w Norwegii potwierdziły w całej pełni te przewidywania.

Jeżeli idzie o bronie główne to autor przewiduje nie tylko wzmożenie potęgi ognia piechoty, ale jej zmotoryzowanie i zmechanizowanie—uważa on, że niedopuszczalny będzie w przyszłej wojnie widok piechurów przemierzających własnymi nogami setki kilometrów. . . .

Odnośnie kawalerii generał przewiduje konieczność całkowitego zmechanizowania pewnej ilości wielkich jednostek. Będą one mogły działać na szerokim froncie i na wielkich odległościach—ich użycie może spowodować przewrót w prowadzeniu działań wojennych.

Omawiając przyszłą artylerię, autor podkreśla między innymi, że będzie ona głównym narzędziem zwalczania nieprzyjacielskiej broni pancernej .

Lotnictwo zaś z broni pomocniczej, jaką było w czasie wojny światowej stanie się bronią główną i samodzielną. . . . Rola i użycie lotnictwa jest tematem szczegółowych rozważań generała Sikorskiego. Przewiduje on przede wszystkim liczne działania lotnictwa szczególnie w początkowych fazach akcji wojennej, mające na celu zapewnienie sobie bezwzględnej przewagi w powietrzu oraz paraliżowanie nieprzyjacielskiej mobilizacji i koncentracji.—W związku z tym przyjmuje jako wstępne działania lotnictwa, atak na wszystkie lotniska nieprzyjacieskie, celem zniszczenia samolotów na ziemi. Czyż naloty niemieckie na lotniska polskie, holenderskie, belgijskie i francuskie nie były potwierdzeniem tych tez? Przewiduje on również użycie wielkich ilości ciężkich bombowców, działających na głębokich tyłach przeciwko centrom przemysłowym, węzłom komunikacyjnym i innym ważnym obiektom wojskowym i gospodarczym.—Lotnictwo myśliwskie zaś ma działać na polu walki przeważnie lotem koszącym przeciwko celom żywym.

Przewiduje nawet w wypadkach wyjątkowych użycie lotnictwa dla przewożenia piechoty na tyły nieprzyjaciela czyli zastosowane przez Niemców w Norwegii i Holandii desanty lotnicze. . . .

Specjalny rozdział poświęca autor "Wojny nowoczesnej" zaskoczeniu. Przewiduje on przede wszystkim nagłe zupełnie użycie lotnictwa w wielkim stylu i to jeszcze przed wypowiedzeniem wojny. Działania lotnictwa poprzedzą nagłe i równoczesne natarcie na całym froncie wielkich i szybkich jednostek broni pancernej, mających na celu przerwanie frontu i wlanie się w głąb terytorium nieprzyjacielskiego. . . . Wedle tych poglądów przyszła wojna miałaby się zacząć nagłą i brutalną akcją na całym froncie przede wszystkim przeciwko temu przeciwnikowi, który zaniedbał odpowiednio przygotować swoją obronę w czasie pokoju. Wojna raz rozpoczęta nie będzie miała nic wspólnego z zabytkowymi pojęciami o humanitarnych metodach jej prowadzenia, będzie prowadzona nie tylko przeciwko wojsku, ale przeciwko całemu narodowi przeciwnika—będzie to wojna na wytępienie.

W końcowych rozdziałach dotyczących planów wojny, autor podkreśla, że w pierwszych dniach wojny wszystkie państwa pomimo istnienia obowiązujących sojuszów wojskowych powinny liczyć jedynie na siebie; rządy przy opracowywaniu swoich planów powinny wziąć pod uwagę, że wystąpienie do akcji sojuszników nastąpić musi z pewnym, będącym nie do uniknięcia, parodniowym opóźnieniem. Odnosić się to powinno w szczególności do Polski, która w tym celu powinna dążyć do udoskonalenia organizacji swojej armii, większej elastyczności mobilizacji oraz szybkiej koncentracji swojej armii. . . . Ponadto prócz dobrego wyszkolenia i zaopatrzenia—jedność moralna, polityczna i społeczna całego narodu odegrać powinna nie mniej ważką rolę. . . . Z całym naciskiem podkreśla on, że przy opracowywaniu planów wojny, tak odmiennych od planów wojen poprzednich należy bardzo poważnie liczyć się z licznymi nalotami bombowców, które będą miały miejsce równocześnie z rozpoczęciem działań wojennych—naloty te bardzo poważnie sparaliżować mogą przebieg mobilizacji i koncentracji własnych wojsk; w przewidywaniu tych nalotów należy zapewnić należytą obronę przeciwlotniczą ważniejszych ośrodków mobilizacyjnych i centrów kolejowych.

Na wszelką chociaż by częściową mobilizację przeciwnika, dowództwo naczelne powinno zarządać od własnego rządu wydania takich samych zarządzeń, celem uniknięcia katastrofy. W ciągu ilu tygodni odbywała się bez żadnej reakcji z naszej strony koncentracja wzdłuż naszych granic kompletnie zmobilizowanej armii niemieckiej? Uważano ją jedynie za bluff i wierząc obietnicom Hitlera wierzono do ostatniej chwili, że wojny nie będzie.

Przy omawianiu planów wojny, autor uważa, że utrzymywanie dużych sił na linii obronnej może mieć sens jedynie, o ile zapewnia to swobodę późniejszego działania oraz umożliwia dzięki zgrupowanym na tyłach ruchliwym odwodom, zmontowanie manewru. Należy dążyć do tego, aby ta masa manewrowa składała się z wielkich jednostek wyborowych, bardzo ruchliwych, jak zmechanizowane jednostki kawalerii lub też piechoty i artylerii zmotoryzowanej z odpowiednim wyposażeniem w broń pancerną. Użycie tej masy wymagać będzie dobrze przemyślanej decyzji, gdyż rzucenie jej w złym kierunku, może narazić ją na porażkę. Działania na północy Francji mogą być najlepszym komentarzem do tych tez. W każdym razie utworzenie takiej masy manewrowej będzie o wiele korzystniejsze, aniżeli ograniczenie się jedynie do biernej defensywy, która nieuchronnie musi doprowadzić do klęski.

W szczególnie ciekawym, ostatnim rozdziale pod tytułem "Działania wstępne, ich charakter i prowadzenie," będącym jakby podsumowaniem poglądów, zawartych w całej książce, Generał Sikorski podkreśla na wstępie, że metody wojny będą zależały całkowicie od wydajności ustalonego systemu obrony; podkreśla słusznie, że demokracje współczesne będą raczej za wszelką cenę dążyć do uniknięcia ofensywy. Ten punkt widzenia, jak podkreśla, jest najzupełniej błędny—natarcie w czasie walki jest zawsze najlepszym sposobem obrony.. Czyż system prowadzenia wojny przez Sprzymierzonych, polegający niestety na ripoście, często skutkiem tego spóźnionej na inicjatywę niemiecką nie był potwierdzeniem tez autora?

Umocnienia stałe ze względu na potęgę nowoczesnych środków walki, przestają być, jak zauważa autor, całkowitą gwarancją obrony i bezpieczeństwa kraju—jedynie armia zdolna do manewru swoim przeciwnatarciem sparaliżować może ofensywę przeciwnika-czyli jedyną i najlepszą metodą walki pozostanie—ofensywa.

Jedynie ofensywa armii potężnie uzbrojonej w sprzęt nowoczesny i dającej jej ruchliwość i siłę przebojową zapewni jej szanse zwycięstwa. W działaniach ofensywnych armia nowoczesna nie będzia ograniczała się jedynie do natarcia czołowego—będzie równie dobrze dążyła ona do obejścia i oskrzydlenia, aby rzucić na tyły swoje ruchliwe zasoby pancerne; wreszcie wojna nowoczesna różnić się będzie od wszystkich wojen poprzednich, że będzie to wojna nie tylko przeciwko żywej sile, ale będzie to wojna na wytępienie całego narodu-prowadzona na śmierć i życie.

Czyż doktryna armii niemieckiej i jej walki na polach Polski, Norwegii oraz wreszcie na Zachodzie odbiegały w czym kolwiek od tych proroczych przewidywań Generała Sikorskiego?

E. Hinterhoff

"Somewhere in London"

Właściwie to jest także obóz—szkoła polska w Londynie. I trzeba również zachować ostrożność przed zdradzeniem jej "miejsca postoju," m.p., jak się u nas pisze i mówi. Jest to obóz, nie tylko dlatego, że wśród uczniów tej szkoły są wyrostki w mundurach, salutujące ostro, sprężyście, gdy napotkają bratni mundur, nie tylko dlatego, że na przekór obyczajom wszystkich szkół ta szkoła polska jest tu, wśród drzew gościnnej ziemi w przelocie, jest tutaj, "somewhere in London," jak my, "somewhere in Scotland"—na postoju, w przygotowaniu, w pogotowiu. Nie tylko dla tego, że jej wychowankowie żyją razem, jak my w gromadzie dzielą czas pracy i czas odpoczynku. Ale dlatego, że to są przyszli żołnierze Rzeczypospolitej, że to są nasi przyszli koledzy.

Wybieram się do tego najmłodszego obozu żołnierskiego w grupie artystów jadących z koncertem. Gdy późnym popołudniem spotykamy się na Oxford Street kończy się któryś z rzędu alarm dzienny. Za którymś rogiem ulicy, od bomby zapalającej dymi się czarno kamienica. Ludzie gęsto wynikają spod ziemi, gęsto jak pszczoły wejście do ula, obstępują wejścia do "tube" (kolejki podziemnej) i przystanki autobusów. Jedzie się pod ziemią długo, blisko godzinę w tłoku i upale. Ale gdy się wyjdzie znowu na powierzchnię—wszystko gada Polską. I ten smukły chłopiec, który wyszedł na spotkanie i lipy i topole i kasztany, które tu rosną gęsto, i szeroki, świeży ciąg idący od drzew, od otwartej przestrzeni, od beztroskiego nieba, nieobecny w wielkim mieście, zdaje się nieobecny już od roku w naszym życiu. I tylko figa, przechylająca się przez murek rozczapierzonymi liśćmi i zielonymi torebkami owoców, tylko cieniutkie listki migdałów, wiotko drżące w zmierzchu—przypominają wszystko, jak było, jak jest, ale i one są łagodne i pełne pocieszenia i pełne obietnicy.

Wydłuża się to doznanie, to łaskawe dotknięcie rzeczywistości gdy wchodzimy w obręb polskiego college'u. Rosną przed nim jak w Polsce gęstymi grupkami czerwone pelargonie, i teraz o zmroku żarzą się ostrą czerwienią, jakby były z ognia. Na progu wita nas dyrektor zakładu, profesor Seliga, w tym samym mundurze, w którym widziałem go ostatni raz we Francji. Prowadzą nas na kolację, na której je się jakieś wspaniałe, arcypolskie kluski "kładzione," czy "lane," "pyzy," czy "racuchy" (zawsze to źle rozróżniałem), z nie mniej polskimi skwarkami. Chłopaki klaszczą mocno na nasz widok, aż dudni beton. Rozchwytują naręcze "Polski Walczącej," które przyniosłem pod pachą; widzę, że lecą oczami przede wszystkim na te stronice, gdzie się pisze o wojsku, o obozach, o nas. . . .

W przerwie, między kolacją a koncertem, dwie grupki grają w "deck-tennis." Nad bramką lata pochyło krążek, żółty jak obwarzanek, przemyka powietrzem z ręki do ręki w podrzutach, ścibiących zygzakowaty ścieg na różowym, tkliwym niebie, które jest samą ciszą, i samym spokojem, i samą najdroższą łaską istnienia. W jednej z tych dwu grup falujących w podskokach, biega benjaminek szkoły, Kubuś. Jasnowłosa główka, smagła twarzyczka zadziera się raz po raz do żółtego krążka, do słodkiego nieba, należy do jego treści, do tej ciszy, spokoju, najdroższej łaski istnienia.

Czekając na uprzątnięcie jadalni rozmawiamy z profesorem-Anglikiem. Mówi o chłopcach, że uczą się świetnie i szybko po angielsku, że są nieznośni, ale bardzo dla niego mili. Inni do tego powołani nie tają, że college jest dość rozbisurmaniony. Nie wiem, czy to niebo, tak niespodzianie przychylne człowiekowi i życiu, czy pulsująca w rękach i twarzach młoda krew sprawia, że nie przejmuję się tym nadmiernie. Prawdę mówiąc—ani trochę. Wiem, że to ich bisurmaństwo zmieni się w żołnierską zaciekłość. Pamiętam, że sam Winston Churchill też przyczyniał swemu ojcu i swoim wychowawcom sporo kłopotu. Wiedząc, że bursowcy londyńscy są czytelnikami "Polski Walczącej" chcę się tylko tą drogą upewnić, że nie zrobią niczego, co by nie było w zgodzie z honorem polskim i z honorem żołnierskim. Że zasłużą sobie od wszystkich Anglików na tę ocenę angielskiego profesora: trochę nieznośni, ale mili i—gentlemeni.

Jest ciemnawo i gęsto na sali gdy zaczyna się koncert. Setka chłopców siedzi na ławach, na stołach spiętrzonych wysoko pod ścianami. Są jeszcze trochę rozproszeni od niedawnego ruchu, niespokojni i głośni, gdy otwiera się koncert Chopinem. Biją dla zabawy brawa na takty, jak w czasie meczu. Ale gdy Baczyński mówi wiersz Szelburg-Zarembiny o tym, że na każdego z młodych może paść ciężar wielkości, a potem czyta z "Syzyfowych prac" lekcję języka polskiego w gimnazjum klerykowskim—oklaski są cichsze, zawstydzone, wzruszone. W stu piersiach drgnęły jednym odruchem polskie serca. Wraca radość, ale już istotniejsza, gdy Tola Korian śpiewa ludowe piosenki polskie i angielskie, gdy Pola Nireńska tańczy tańce ludowe, gdy Baczyński opowiada zawikłania krótkiego pobytu Zwyrtały w niebie. Na koniec pianistka-Angielka p. Cavalho zasiada do fortepianu i gra hymn polski. Bez komendy, samorzutnie, poprostu, ze stu piersi nadyszanych powietrzem angielskich drzew bucha stwierdzenie, że Ona nie zginęła, bo oni żyją. Drży od tego beton. Drży ciemność za oknami. Gdy potem spod palców pianistki wypływa melodia "God save the King," obecni na sali Anglicy i Angielki, nauczeni przykładem młodych Polaków, śpiewają głośno swój hymn. Czuję, że przymierze przedłuża się, jak życie i jak walka—o jedno pokolenie.

Jest już ciemno, gdy wracamy do centrum Londynu. Na połowie drogi chwyta nas pierwszy alarm nocny. Rozdzierająco krzyczą syreny. Rózgi światła chłoszczą czarne, znowu groźne, nienawistne człowiekowi niebo. Ale słucham tego apokaliptycznego głosu ze spokojem, bez zgrozy patrzę na kosmiczne widowisko. Pamiętam tamto niebo sprzed paru godzin i twarz Kubusia nurzającą się w jego słodkiej różowości.

Gdy to piszę leży przede mną biała kartka: "Dyrektor, Grono Nauczycielskie i Młodzież Polskiego Gimnazjum w Londynie prosi Redaktora "Polski Walczącej" o zaszczycenie swą obecnością uroczystości otwarcia roku szkolnego dn. 3-go września. . . ."

Melduję wszystkim obozom w Szkocji, że obóz londyński rozpoczął pracę. Za rok, pierwszy pluton żołnierzy dołączy z niego do naszej żołnierskiej wojny, a jeśli Bóg zechce—do naszego polskiego pokoju.

Tymon Terlecki

Jak to było 1-go września pod Chojnicami.

W co raz to liczniejszych wydawnictwach niemieckich o kampanii polsko-niemieckiej, w wielu opisach i wspomnieniach spotykamy wiadomości, świadczące o poważnych stratach i ofiarach, o wielu porażkach i niepowodzeniach, poniesionych przez Niemców w walce z oddziałami polskimi. Na tym tle i w świetle wielu faktów ujawnionych przez ich własne źródła, zostają poważnie podważone argumenty niemieckiej propagandy, głoszącej o naszej słabości oraz o małej wartości polskich oddziałów i dowódców, o błyskotliwości niemieckich sukcesów i łatwości, z jaką je odnosili.

Każdy z takich opisów nasuwa na ten temat wiele uwag, dowodzi jak kłamliwe były twierdzenia niemieckie, zmierzające do osłabienia naszego samopoczucia i poderwania wiary we własne siły, przy jednoczesnych własnych przechwałkach i zatajaniu poniesionych strat i niepowodzeń. Do czasu, gdy hałaśliwa propaganda niemiecka używała tych argumentow na użytek wewnętrzny i dla zamydlenia oczu zagranicy, można było ukrywać istotny stan rzeczy, odkąd jednak Naczelne Dowództwo niemieckie dla celów wychowawczych i wyszkoleniowych zaczyna posługiwać się rzeczywistymi opisami i pragnie ze zdobytych doświadczeń wyciągnąć realne wnioski, wiele poprzednich kłamstw zostanie zdemaskowanych i przygwożdżonych ich własnymi relacjami.

Opis walki, stoczonej w pierwszym dniu wojny, przez niemiecki pociąg pancerny z oddziałami polskimi, który streszczamy tutaj według niemieckich źródeł oficjalnych jest dość znamiennym przykładem.

W Nr. 162 Warschauer Zeitung z dnia 11. VII. 940, w artykule p.t.: "Wir stiessen im Panzerzuge nach Konitz vor," opracowanym przez nieznanego autora, na podstawie książki wydanej przez Wydział Studiów niemieckiego Sztabu Generalnego p.t.: "Kampferlebnisse aus dem Feldzuge in Polen," wydawnictwo G. S. Mittler i syn Berlin, czytamy:

Jeden z niemieckich pociągów pancernych został przeznaczony do uderzenia na Chojnice; zadaniem jego było opanowanie z brzaskiem dnia 1 września węzła kolejowego Chojnice i utrzymanie go do czasu nadejścia piechoty niemieckiej.

W nocy z dnia 31 sierpnia na 1 września pociąg pancerny przybył na niemiecką stację graniczną i o godzinie 4.15 dnia 1 września wyruszył na wschód. W gęstej mgle mijano, maszerującą ku granicy polskiej, piechotę niemiecką oraz obserwowano artylerię, zajmującą stanowiska ogniowe. Po wyminięciu napotkanych własnych oddziałów, pociąg przejechał przez punkt graniczny i nie będąc niepokojony, znalazł się w kraju nieprzyjacielskim pierwszy z pomiędzy oddziałów niemieckich na tym odcinku frontu.

Dowództwo pociągu zdawało sobie sprawę, że wszystkie mosty kolejowe, znajdujące się pomiędzy granicą a Chojnicami, są podminowane, chcąc więc wykonać zadanie należało zastosować odpowiednią taktykę, polegającą na zaskoczeniu przez jak najszybszy ruch na przód i kolejne chwytanie mostów w stanie nieuszkodzonym. Przy zastosowaniu tej taktyki pierwszy most udało się przebyć bez wypadku. Możliwe, że gęsta mgła, która nie dozwalała załodze pociągu na wgląd w przedpole na dalszą odległość jak 20 mtr, również i oddziałom polskim uniemożliwiła obserwację i odpowiednie zareagowanie na ruch pociągu, chociaż niezawodnie pierwsza linia posterunków polskich została już przekroczona. Ale i dwa następne mosty przebył pociąg bez wypadku i bez reakcji ze strony polskiej a wkrótce po tym, bez zatrzymywania się wjechał na dworzec kolejowy Chojnice, mijając rampę i wieżę wodną, na której spodziewano się stanowisk polskiej broni przeciwpancernej.

Rejon dworca kolejowego nie miał sprzyjających warunków dla wykonania powierzonego zadania, ze względu na gęste pokrycie, utrudniony wgląd i małe pole obstrzału. Bowiem dalszy horyzont ograniczony był zarysem miasta i rozrzuconymi pojedyńczymi zabudowaniami, okalającymi stację kolejową; bliższe przedpole pokryte było zaroślami i gęstymi ogrodami, umożliwiającymi bliskie i skryte podejście a prowadzeniu ognia stały na przeszkodzie liczne wagony towarowe i osobowe, rozrzucone na wielu torach.

Po przybyciu na dworzec, dwie drużyny szturmowe obsadziły najbliższy jego rejon, a przeszukując go, wzięły kilku jeńców, żołnierzy z załogi dworca i urzędników kolejowych. Jak dotąd nie było żadnego przeciwdziałania ze strony polskiej, to też dowódca pociągu o godzinie 5.10 wysłał meldunek, zawiadamiając dowództwo korpusu o wykonaniu zadania i opanowaniu nakazanego rejonu. Jak zobaczymy z dalszego opisu wydarzeń meldunek ten, chociaż w danej chwili ścisły, okazał się jednak przedwczesny.

Wówczas już bowiem, chociaż od zajęcia dworca upłynęło zaledwie kilka minut, zaczęły padać pierwsze strzały. O posiadanie rejonu dworca, w jego południowej i wschodniej części rozpoczęła się utarczka. Po chwili okazało się konieczne wysłanie pomocy dla zabezpieczenia nieosłoniętego dotąd północnego kierunku, skąd zarysowywało się nowe niebezpieczeństwo. Zaobserwowany bowiem ruch w zaroślach i ogrodach oraz sygnały trąbką zdradziły tam obecność oddziałów polskich. Dla wykonania tego zadania, z braku innych sił, pośpieszyli na przełaj ochotnicy z zapasowych obsług karabinów maszynowych.

Gdy tylko zdołali rozmieścić się w terenie, wyruszyło polskie natarcie, zmierzające do oskrzydlenia walczących w południowej i wschodniej części, czemu jednak zdołało pszeciwstawić się wysłane w porę ubezpieczenie.

Podczas opisanej walki, przy odgłosie potężnej detonacji, od której wokół powypadały szyby, most, znajdujący się na tyłach pociągu, został wysadzony w powietrze przez patrol polskich minierów. Dla uzyskania lepszego pola obstrzału pociąg wycofał się i przez jeden z torów, nieuszkodzonych wybuchem, udało mu się przejechać na drugą stronę mostu; drużyny zaś związane walką pozostały na swych stanowiskach w rejonie dworca.

Polskie pociski spowodowały już pierwsze straty w załodze pociągu, przy czołowym dziale padł zabity działonowy i celowniczy. pomimo to działo obsługiwane już tylko przez samych kanonierów odpowiadało ogniem i zmusiło do milczenia źródła ognia przeciwnika, znajdujące sią na wieży wodnej.

W międzyczasie walka w rejonie dworca zaostrzyła się, a natarcie polskie nabrało na sile, wspierane ogniem broni ręcznej, maszynowej oraz armatek przeciwpancernych. W tym położeniu dowódca zdecydował ściągnąć do pociągu drużyny szturmowe, walczące samotnie w rejonie dworca. Goniec wysłany w tym celu z rozkazem—padł zabity. Pociąg musiał więc wrócić na dworzec i po raz trzeci przebyć most, który w każdej chwili mógł wylecieć w powietrze. Już bowiem polski patrol minierski z powrotem znalazł się przy pracy, jednak ogień pociągu unieszkodliwił tę akcję i przejazd został zapewniony.

Sygnał lokomotywy wezwał drużyny do pociągu; na ten znak, pod silnym ogniem polskim wycofały się one na przełaj. Po załadowaniu się ich, pociąg wycofał się w kierunku mostu, przepędzając po raz trzeci uparty polski patrol minierski, usiłujący tym razem przy pomocy wiązki granatów ręcznych ponownie uszkodzić most.

Po uzyskaniu wolnego pola obstrzału pociąg zatrzymał się i prowadził walkę ogniową, mając przed sobą co raz to bardziej narastającą ilość celów. W odległości 150 mtr. od toru kolejowego posuwały się trzy polskie karabiny maszynowe dla zajęcia stanowisk ogniowych, zostały jednak zniszczone przez czołowe działo pociągu. Z budynków dworca oraz z zarośli, okalających pociąg wzmagał się ogień piechoty, zdala ze skraju miasta, ze stanowisk ledwo dających się rozpoznać we mgle, strzelały armatki przeciwpancerne, których pociski drążyły bez trudu pancerne ściany wagonów.

Nieprzerwanym ogniem ziały karabiny maszynowe pociągu, starając się nie dopuścić przeciwnika w swe pobliże, pomimo to jednak w gęstych zaroślach i poza wieloma domkami odzywały się co raz to liczniejsze polskie karabiny maszynowe i armatki przeciwpancerne.

O piechocie niemieckiej, która mogłaby dopomóc do wydostania się pociągu z tego diabelskiego kotła nie było dotąd ani słychu, żaden odgłos walki nie zdradzał jej zbliżania się.

Polskie armatki przeciwpancerne zaczęły strzelać z najbliższej już odległości. Wieżyczka pancerna dowódcy pociągu, ugodzona celnym strzałem, została zniszczona a dowódca padł zabity. Dowództwo objął jego zastępca.

Zwalczając zawzięcie źródła polskiego ognia, pociąg rozpoczął ruch do tyłu, by pozostając na miejscu nie stwarzać dogodnego celu. Podczas tego ruchu potężne uderzenie wstrząsnęło załogą i sprzętem. Okazało się, że czy to ten uparty polski patrol minierski, po tylekroć spędzany ogniem pociągu, czy też w międzyczasie wysłany inny, dokonał swego dzieła i most został skutecznie uszkodzony. Ostatni wagon budowlany spadł z mostu a następny wagon z działem wyskoczył z szyn. Natychmiast wydane rozkazy nakazywały odłączyć oba wykolejone wagony i z powrotem ruszać na przód, bowiem droga odwrotu była już odcięta a pozostawanie na miejscu groziło zniszczeniem pociągu. Pogotowie techniczne wysiadło, wagony zostały odłączone, jednak rozkazu jazdy nie można już było wykonać.

Trwał bowiem wzmożony ogień armatek przeciwpancernych, który pomimo ostrego kąta padania pocisków niszczył ściany wagonów; z odległości 1500 mtr. strzelała już polska bateria a jej pierwsze pociski leżały w celu. Nie było więc widoków do dalszego działania ani utrzymania się w wagonach druzgotanych pociskami; wychodzi więc rozkaz opuszczenia pociągu. W ogniu artylerii i broni maszynowej załoga wynosiła sprzęt i amunicję oraz rannych, jedynie polegli pozostali wewnątrz. Pod osłoną ustawionych szybko na stanowiskach karabinów maszynowych, załoga zajęła najbliższy rejon wokół swych nieużytecznych już wozów pancernych.

W tym czasie, pomiędzy godziną 10 a 11, zaczęło dochodzić wreszcie do pola walki czoło nadciągającej niemieckiej kolumny piechoty, siły te jednak były jeszcze za słabe, by móc odciążyć walczące dotąd oddziały.

Gdy ogień artylerii przeciwnika stawał się co raz to silniejszy, gdy pociski jej wznieciły pożar w rozbitych wagonach, a znajdująca się w nich amunicja zaczęła wybuchać, załoga musiała raz jeszcze opuścić zajęte stanowiska i wycofać się daleko od zadającego jej straty własnego pociągu.

Dopiero po zmontowaniu natarcia przez piechotę niemiecką i po jego wyruszeniu na Chojnice, mogła pozostała resztka załogi zebrać się przy swych zniszczonych wozach.

Powyższe wspomnienia bezpośredniego uczestnika boju nasuwają kilka charakterystycznych uwag. Zadanie powierzone pociągowi pancernemu było śmiałe i ryzykowne, mogło się ono udać, jak to słusznie przewidywano, tylko w drodze zaskoczenia. W tym jednak wypadku zaskoczenie nie zostało osiągnięte, dzięki czujności oddziału polskiego, który natychmiast po zjawieniu się napastnika mógł przejść do skutecznego przeciwdziałania. Przeciwnik zaś, nie tylko, że został wyparty z zajętych początkowo stanowisk, nie mógł wykonać powierzonego mu zadania utrzymania węzła kolejowego, który to rejon miał być niezawodnie podstawą do dalszego działania dla nadciągającej piechoty, lecz pociąg został doszczętnie zniszczony a z załogi poza pamiętnikarzem prawdopobnie nie wielu zdołało się wyratować

Dla wyjaśnienia trzeba dodać, że w Chojnicach stacjonował batalion strzelców i niezawodnie jego to oddziały stoczyły opisany zwycięski bój. Polski batalion strzelców siłą swego ognia nie przewyższał pociągu pancernego, górującego nad nim opancerzeniem, gdy jeszcze dodamy do tego, że batalion miał w tym czasie inne prawdopodobnie zadania osłonowe, i że do walki z pociągiem pancernym mógł wydzielić tyłko część swych sił, to ten pomyślny wynik boju stanowi piękną jego kartę.

Ze wspomnień pamiętnikarza widać, że zaciętość niemiecka, wykazana w walce, spotkała równego sobie przeciwnika. Świadczy o tym choćby uparty patrol minierski, który tyle razy przepędzany, nie dał za wygraną i w końcu walnie przyczynił się do odcięcia drogi odwrotu a tym samym do zniszczenia pociągu, którego karta bojowa zuchwale rozpoczęta z rana pierwszego dnia wojny, już w południe tegoż dnia, zostaia zamknięta równie zaciętym przeciwdziałaniem polskim.

K.J.O.

Pierwsze zwycięstwo gen. de Gaulle

Andrzej Tardieu w swoich książkach o naprawie ustroju Trzeciej Republiki, zwracał uwagę na pewną dwoistość duchową społeczeństwa francuskiego.

"W narodzie naszym—pisał—walczą ze sobą dwa pojęcia Francji. Pierwsze zawiera bardzo silne pierwiastki godności i dumy narodowej. Wyraża się ono w naszej polityce tak wewnętrznej, jak i zagranicznej przez dążność do urzeczywistniania wielkiego posłannictwa Francji nie tylko w Europie, ale i w całym świecie. Jego wyrazem jest nasz imperializm kolonialny, reprezentowany przez ludzi, którzy w najtrudniejszych warunkach nieśli trójkolorowy sztandar przez piaski Sahary i podzwrotnikowe lasy Afryki. Jego wyrazem jest także ta dążność do gromadzenia obok Francji narodów środkowoeuropejskich i pozyskiwania ich dla naszej kultury i naszych łacińskich ideałów.

Ale obok tego wyobrażenia życia istnieje jeszcze inne, o wiele mniej ambitne, a raczej nie mające poczucia tych ambicyj. Jest to prowincjonalna zaściankowość, niechęć do sięgnięcia myślą poza granice własnego departamentu, a cóż dopiero Francji! Pierwsze stworzyło wielki program imperialny i mocarstwowy. Drugie—było źródłem niebezpiecznych kompromisów międzynarodowych oraz podłożem, na którym rozwijał się co raz to bujniej anarchizm naszej polityki wewnętrznej."

Ta druga Francja poniosła klęskę i złożyła broń, zdając się na łaskę lub niełaskę Hitlera. Ale pierwsza nie skapitulowała tak łatwo. Pod wodzą jednego z najzdolniejszych i najdzielniejszych generałów francuskich, de Gaulle'a, walczy wraz z nami u boku Wielkiej Brytanii, symbolizując w najbardziej podniosły sposób i honor żołnierski i wierność Sprzymierzeńcom i legendarne męstwo.

Pod sztandarami sprzymierzonej z nami armii generała de Gaulle-skupia się nie tylko to wszystko, co najszlachetniejsze w narodzie francuskim, ale z dzielnym wodzem łączą się również ci, którzy uosabiają rzetelnie pojęty nacjonalizm i dynamizm wielkiego społeczeństwa. Przede wszystkim oficerowie i żołnierze wojsk kolonialnych. Stanowili oni główny element tworzącej się na ziemi angielskiej armii francuskiej. A w tej chwili, na apel de Gaulle'a odpowiadają wojska w Czadzie i Równikowej Afryce Francuskiej oraz w Kamerunie. Trzy te prowincje oświadczyły się po stronie Generała, podkreślając w swych deklaracjach, że będą walczyły za wolność, Francję i sprawiedliwość aż do całkowitego zwycięstwa.

Jest to pierwszy, wielki sukces generała da Gaulle, który w najtrudniejszych warunkach podjął kampanię w obronie honoru swojej ojczyzny. Zarazem jest to bardzo doniosły fakt polityczny, którego następstwa dadzą się odczuć również na terenie działań ściśle wojskowych.

Dążeniem państw centralnych, Niemiec i Włoch, było przedłużenie osi Berlin-Rzym także w Afryce. Bezpośrednio po kapitulacji w Bordeaux, zarówno nad Tybrem jak i nad Sprewą podnoszono doniosłość zwycięstwa, jako sukcesu ogólnoświatowego.

"*Oś Berlin-Rzym* — pisał "Giornale d'Italia" *przecina całą Afrykę, rozbijając zwarty blok kolonij angielskich. Jest to klasyczna już dzisiaj linia, od Morza Śródziemnego, poprzez Libię, Czad, byłą francuską Afrykę Równikową-aż do Oceanu Atlantyckiego. Na* wschodzie łączy się ta linia ze skalistą twierdzą Abissynii, idąc aż do wybrzeży Oceanu Indyjskiego. Afryka angielska leży w gruzach."

Tymczasem, jak to często bywa w reżimach dyktatorskich, wielki okrzyk tryumfu wydano trochę za wcześnie. Prowincja Czad, jak również Afryka Równikowa Francuska nie stanowi już dzisiaj osi niemiecko—włoskiej. *Co więcej, kraje te tworzą ugrupowanie przeciwne osi, zamykając tę ostatnią na granicy Libii.*

Obszary, które przyłączyły się do walki są bardzo duże, obejmując 1,400,000 mil kwadratowych i przeszło siedem milionów ludności. Poza tym stanowią teren bardzo doniosły pod względem strategicznym. *Prowincja Czad łączy się z Sudanem Angielskim i Egiptem, umacniając tym samym nieprzerwaną linię angielską od Aleksandrii aż po Kapstadt w Kraju Przylądkowym.* Kongo Belgijskie przyłączyło się wcześniej do koalicji—i w ten sposób Czad stanowi jakby silne przedpole tego niezwykle bogatego w surowce kraju. Po nadto na terenie Czadu znalazły się plemiona, które dawno już podjęły walkę z Włochami i przeszły granice południowej Libii. Plemiona te, wyposażone w broń angielską i prowadzone przez angielskich oficerów mogą w bardzo poważny sposób pokrzyżować włoskie plany uderzenia na Sudan i Egipt od południowego-wschodu. Poza tym lotniska w Lamy, stolicy Czadu, nie będą już służyły jako stacje benzynowe dla bezpośredniej komunikacji Rzym-Addis Abeba-Dżibuti.

Oprócz tych względów wojskowych i gospodarczych deklaracja tych trzech prowincyj, przyłączających się do generała de Gaulle-—ma również wielkie znaczenie polityczne. Korespondenci amerykańscy podkreślają olbrzymie wrażenie, jakie ten fakt wywołał w Dakarze. Rząd w Vichy żywi poważne obawy w sprawie francuskiej Afryki Zachodniej. Dakar jest niezwykle ważnym punktem strategicznym i stanowi właściwie klucz całego imperium kolonialnego w Afryce. Jest to jeden z najważniejszych portów na drodze do Afryki Południowej. Jest to również ogromnej doniosłości baza samolotowa linij lotniczych, łączących Afrykę i Europę z Ameryką Południową. Rząd niemiecki stara się wywrzeć silną presję na gabinet w Vichy, ale nastroje filoangielskie w Dakarze wzrastają.

Wszystko to odbija się na nastrojach w krajach północnoafrykańskich. W Tunisie wzrosły te nastroje do tego stopnia na sile, że trzeba było znowu zmieniać gubernatora. Został nim wyższy oficer, znany ze swych przeciwangielskich i faszystowskich przekonań.

Generał de Gaulle odniósł pierwsze, duże zwycięstwo moralne—tak niezwykle ważne w tej wojnie o duszę narodów i każdego poszczególnego człowieka.

Tadeusz Kiełpiński

LATAMY



Mistrz

Magiczne słowo!

Wielu z nas czuło niemal to samo co w przeddzień pierwszego wzlotu w szkółce z instruktorem. Nowe czarodziejskie słowo—" instruktor," wyciagnięte z zakamarków pamięci, radosnych dni, szczenięcych lotów. Instruktor to była nieosięgalna doskonałość, pan, przed którym powietrze i sztuka latania nie miały tajemnic. Dzisiejsi " uczniowie" mają często po kilka tysięcy godzin, a sylwetka mistrza, człowieka o gołębim sercu, wiecznie uśmiechniętego, nie ma w sobie nic z wyśnionego rycerza powietrza—nadludzkiego Ikara.

Pręży się w żołnierskim ukłonie wartownik przy bramie, ręka ufnie, pieczołowicie spoczywa na zamku karabinu, uśmiechem życzliwości patrzą na nas niebieskie oczy z popod daszka angielskiej czapki.

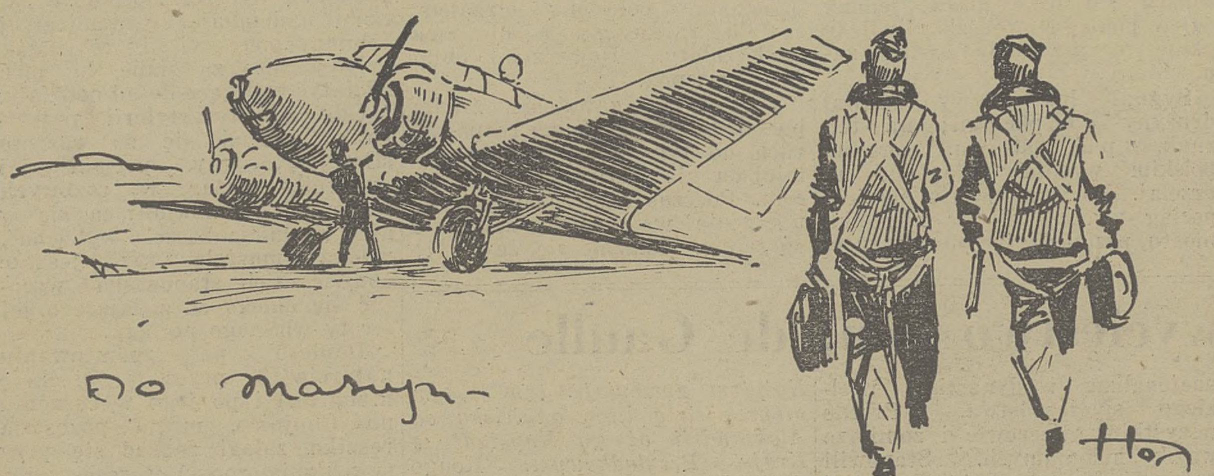
Przekroczyliśmy granicę zakazanej, dla tak wielu, niemal przez rok krainy.

Teraz reszta idzie szybko—radośnie. Dogadać się trochę trudno, ale przecie z fachowcami mają do czynienia. Czyjeś ręce dopinają szelki spadochronu, ktoś inny pokazuje mapę, wyjaśnia jak może trochę po angielsku, trochę po francusku, czasem jeden gest wystarcza. Wysoki chudy tłumacz ustala kolejność, numery maszyn, objaśnia armaturę.

Gdzieś w kącie kryje się skromnie nasza sława — uśmiecha się obleśnie, językiem po wargach przeciąga i łypie łapczywie okiem z nad szkicownika. A tematów jest dość. Kręcą się w koło zaaferowane postacie w kombinezonach. Grupka schylonych uczni nad mapą z uwaga śledzi wskazania instruktora. Mechanicy przeglądają, próbują maszyny. Wszędzie panuje tak radosny dla oka pilota nastrój krzątaniny przed lotem.



Nasi piloci



Do maszyn



Obserwatorzy otrzymują zadanie

Dla nas tym milszy, że mimo tej angielskiej sztywności, jakeśmy to dawniej niesłusznie nazywali, otaczani jesteśmy taką serdecznością, jakiej dawno, dawno nie czuliśmy. Nie jest to nagły, narzucający się wybuch afektu, lub piękne słowa, to raczej spokojna, mądra i dojrzała przyjaźń.

W końcu wszystko jest "*fixed up*." Wychodzimy przed hangary.

Rozsiadły się, przyczaiły jakby do skoku, potężne maszyny. Potworne narośle motorów na skrzydłach zagrały, ożyły nareszcie.

Przebudziły się manometry, wskaźniki, pozapalały się światełka, kablami popłynął prąd, linki dygocą niecierpliwie. Drgają strzałki zegarów, mierząc tajemniczy nurt pulsującego życia.

Wypełza na start maszyna za maszyną. Za szybkami radosne, choć skupione, twarze polskich pilotów. Ryk motorów. . . .

Za chwilę, schowawszy podwozie, giną w sinawej mgiełce, wiszącej nad cudną mozaiką pól i drzew, wielkiego ogrodu—Anglią.

p.o.m.l.

Rysunki Artura Horowicza

ZWYCIĘSKI LOT

W ciszę ukojną i smutną
Wpadł nagle warkot motoru...
Spłynęły ptaki stalowe
W błękitną szarość wieczoru...

Lecą skrzydlaci rycerze
Tacy weseli! radośni!
Oczy im płoną z zachwytu...
A serca biją tak głośno...

Przebili chmury pierzaste
Nad nimi już błękit nieba
Wiatr śpiewa pieśń najpiękniejszą...
Nic Im do szczęścia nie trzeba!

Nie strach im wichrów ni burzy
Zły los im skrzydeł nie strzaska
Jak złote ptaki tak lecą
W ostatnich słonecznych blaskach!

Lećcie na bój Wasz zwycięski
I wróćcie do nas czem prędzej
Będziemy na Was tu czekać
W bojaźni trosce i w męce!...

Lot Wasz Błękitni Rycerze
To święta piękna zaprawa!
Przed Wami Przyszłość nieznana
Lecz szlak Wasz:
ZWYCIĘSTWO-SŁAWA!

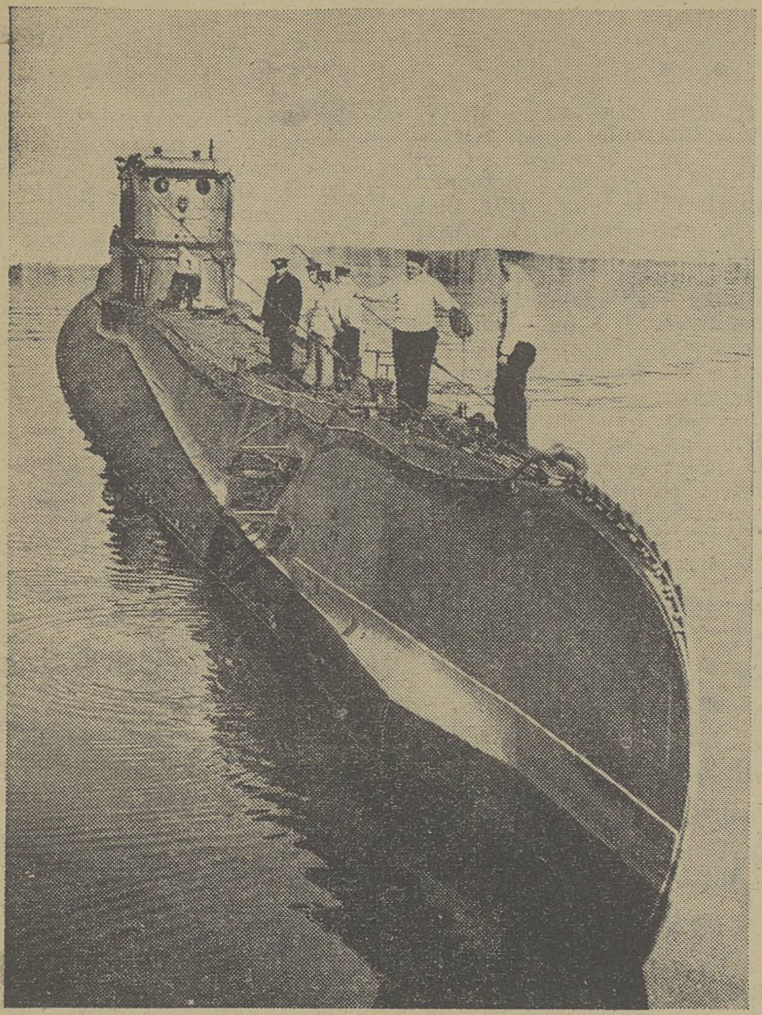
Irena Paczoska



Po locie filiżanka kawy



Dopasowywanie spadochronów



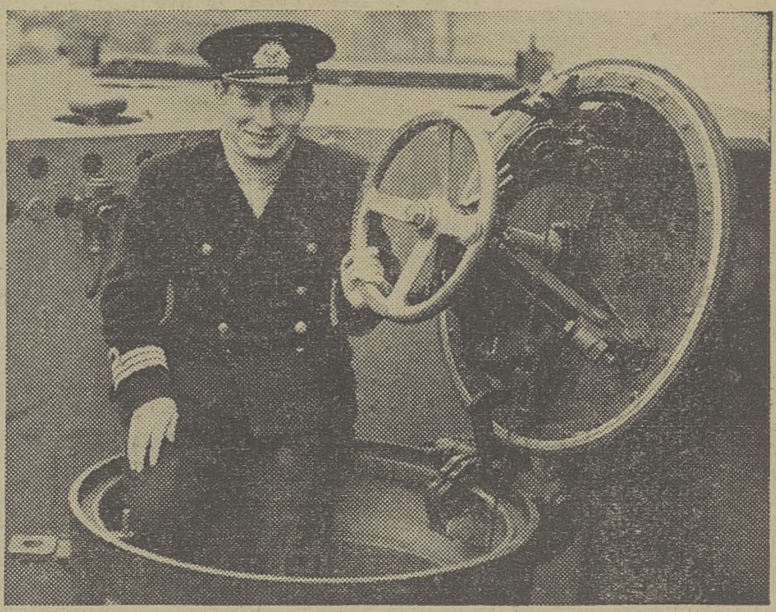
"Orzeł" w jednym z portów angielskich (wśród marynarzy kpt. Grudziński)

O.R.P. "ORZEŁ"

Rodakom w kraju na pewno niejedna wiadomość o naszym "Orle" była nieobcą. Mimo przeróżnych szykan i zakazów, każda dobra wiadomość stąd, z Zachodu, z pola zmagań najcięższych, i ich i naszych jedynych nadziei, elektryzuje całe społeczeństwo, jak iskra elektryczna dosięga w krótkim czasie do tych wszystkich, którzy tam w kraju są jej tak gorąco spragnieni. I dla nas emigrantów też łaknących od 1 września 1939 roku lepszych wieści, każda wiadomość pomyślna, każda wiadomość kojąca od tego dnia trwającą ciągłość naszego nieszczęścia—jest jak jasny promyk słońca, wśród nawałnicy skłębionych, czarnych chmur.

Taką, napawającą nas dumą wiadomością było opublikowanie, że do chlubnych czynów naszej marynarki wojennej i handlowej, uratowanych w lwiej części z potopu wrześniowego, dołączył się piękny czyn naszego okrętu podwodnego "Orzeł."

"Orzeł," który walczył od wybuchu wojny na Bałtyku, który korzystając z przepisów prawa międzynarodowego, specjalnie estońskiego i otrzymanego zapewnienia władz estońskich, zawinął do portu Tallin, aby oddać chorego dowódcę do szpitala,—a tam podstępnie siłą rozbrojony, wymknął się, w nocy, aby dalej walczyć na Bałtyku do 6 października. I to jak walczyć! Bez własnego portu, bez własnego kraju, bez zamków przy działach, bez map i przyrządów nawigacyjnych z niewielką ilością torped, których Estończycy nie zdążyli zabrać—trwał niezłomnie, czatując na wroga i mając przeciwko sobie całą flotę niemiecką i wszystkie niemieckie samoloty.



Dowódca "Orła" kapitan marynarki (później mianowany komandorem-podporucznikiem) Jan Grudziński

Opuścił Bałtyk, bo zapasy mu się kończyły. Pod bokiem wroga, bez map przebył nawigacyjnie trudne cieśniny duńskie, aby w Kattegacie, Skagerraku i na Morzu Północnym w dalszym ciągu czatując na wroga, dokumentować na razie przed własną załogą, że mimo przemocy, mimo zalania przez wrogów całej Polski —Ona jest, bo walczy nieprzerwanie z wrogiem i wierzy w swe nowe odrodzenie. Kiedy zapasy już były na zupełnym wyczerpaniu dowodzący "Orłem" zastępca dowódcy kapitan marynarki Jan Grudziński—zbliżył się do wybrzeży Anglii, gdzie poprosił o przysłanie mu pilota, któryby okręt podwodny konwojował do portu, gdyż nie posiada map. Było to 13 października, wówczas gdy cały świat, śledzący wypadki morskie, uważał "Orła" za dawno już zaginionego.

Nadzwyczaj gościnnie przyjęty przez władze i naród najbardziej morski na świecie, wspólnie z drugim naszym okrętem podwodnym "Wilkiem," kontrtorpedowcami: "Gromem," "Błyskawicą" i "Burzą"—rozpoczął przy boku sprzymierzonej floty wielkobrytyjskiej swą dalszą ciężką służbę wojenną dla Polski i wspólnej sprawy sojuszniczej.

Podczas jednego ze swych patroli w morzu natrafił na statek niemiecki "Rio de Janeiro," którego przy zachowaniu przepisów o ratowaniu załóg dopiero po skonstatowaniu, że topił transportowiec przewożący wojsko, zatopił. Było to z początkiem ofensywy niemieckiej na Norwegię.

To imię: "Orzeł" mieli już oddawna w pamięci wszyscy Polacy interesujący się chociaż cokolwiek sprawami morskimi, bo przecież był to okręt wspaniały w swym typie, który wybudowany został ze składek społeczeństwa, pomagającego Państwu w rozbudowie marynarki wojennej przez popularny "Fundusz Obrony Morskiej" t. zw. w skrócie "Fom." Był on przez to dowodem, że budzi się w społeczeństwie w Polsce oprócz sentymentu do morza, także zrozumienie obowiązków wobec niego. Był to wyra[illegible] wykazywanej przez społeczeństw[illegible] chęci oddziaływania na czynniki w państwie decydujące, w tym duchu, że morze, że zachód, że Pomorze wymagają największej uwagi i zapezpieczenia, bo stamt[illegible] grozi niebezpieczeństwo, gr[illegible] cios! I nie pomyliło się niestety. Ale na szczęście nie zawiodły się te sfery społeczeństwa, które wołały o rozbudowę marynarki wojennej, bo przecież ona, choć zaledwie urządzająca się na wybrzeżu, trwała w Gdyni-Oksywiu przy ciężkim natarciu wroga do 20 września, na Helu do 1 października a okrętami swymi, wspomnianymi powyżej, trwała i trwa nieprzerwanie, budząc uznanie wśród największej marynarki świata i wszystkich ludzi, dla których sprawy morza nie są obce.

A teraz—zaledwie po bolesnej stracie "Gromu" we fiordach Norwegii — nie została nam oszczędzona dalsza bolesna strata: ORP "Orzeł" wyszedłszy na swój zwykły patrol na morzu w dniu 23 maja, nie powrócił i Kierownictwo Marynarki Wojennej ogłosiło, że należy go uważać za stracony. Było jeszcze parę tygodni złudy, że a nuż, jak przedtem gdzieś jeszcze trwa, może uszkodzony, że nie może dać znać o sobie? Nadzieje jednak były płonne.

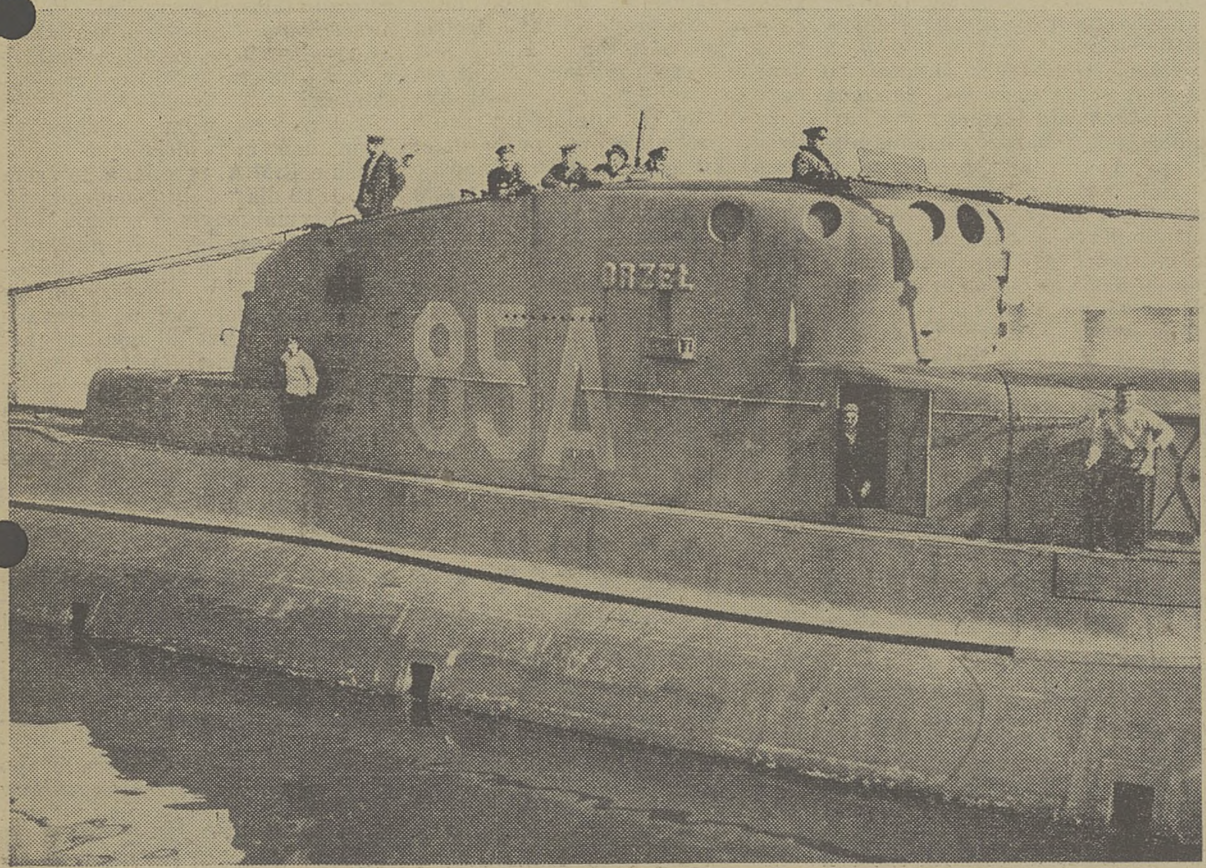
Za dusze 60 oficerów, podoficerów i starszych marynarzy tworzących bohaterską załogę "Orła," przed kilku tygodniami odprawione zostało żałobne nabożeństwo w polskim kościele przy Devonia Road. Nabożeństwo zaszczycili swą obecnością Pan Prezydent Rzplitej, Naczelny Wódz, kilku członków naszego rządu, władz i wojska, spora liczba przedstawicieli i przedstawicielek tutejszej Polonii. Wzięli udział obecni w Londynie oficerowie naszej marynarki wojennej z jej szefem kontradmirałem Świrskim na czele i delegacje niektórych naszych okrętów.

Prócz nieoszczędzonego nam w tych bolesnych czasach żalu za pięknym okrętem i jego załogą, pozostaje nam, naszej Marynarce, i Polsce, bodaj pierwsza w naszej historii, największa w obecnej wojnie, piękna karta chwały bohaterstwa morskiego.

K. Mora



Zastępca dowódcy "Orła" porucznik marynarki Andrzej Piasecki



"Orzeł" (w kiosku por. Piasecki)



Załoga "Orła" na pokładzie

Sweet home . . .

" The Turks live in Turkey, the Romans live in Rome, etc., but the English live—at home" . . . " Turcy mieszkają w Turcji, Rzymanie w Rzymie itd., ale Anglicy mieszkają zawsze u siebie w domu."

O tym *home* angielskim (co prawda brzydkiej często architektury), o *home*, jako spójni moralnej i familijnej, a więc o życiu zwyczajnych Anglosasów w tych domach,—miałam w a nie kropnąć budujący artykuł, gdy spadł nam na głowę (niczym ze spadochronu)—nasz pan i władca.

Urlop! Nareszcie!! Tylekroć przesuwany, zdawało się już zupełnie zniesiony z porządku dnia. Rodacy oczywiście psioczyli, że to tylko ich omijano tak niesprawiedliwie; stwierdzam uczciwie, że naszego *soldier'a* nie oglądaliśmy na żywe oczy od marca. A oto przyjechał, i jak przystało na szanującego się tubylca, własnym wozem.

Radość więc podwójna. Nawet większa: miałam zmartwienie z tym artykułem. Bo co tu gadać: kontynent stworzył legendę o doskonałej wygodzie *home* brytyjskiego. Ileż to razy kłuło się nam w oczy, że zaściankiem Europy jesteśmy, mieszkać po ludzku nie umiemy. A tu pomieszkawszy jedną tylko zimę, sumuję z czego składa się wygoda tego domu: Powszechny brak pieców przy psim chłodzie, szpary u drzwi wejściowych, że nie tylko gruby list, ale i wróbel by się przecisnął. O myszach nie mówię, wszystko trąci myszką. Korytarze i łazienka owszem (owszem jest!) —niczem lodownia. Jedyny, kopcący kominek w *sitting-room* (bawialnia), owszem, napalony do siedmiu potów. Ale wystarczy wychynąć tylko za drzwi, już kichanie chwyta za nos; na pięterku zaś, w sypialni—szkocki katar! A ile sadzy co dnia, wielki Boże! osiada na włosach, sukniach, płucach.

Ale *home* angielski, to przecież nie tylko filujący sadzą tradycyjny kominek i niekoniecznie smakowity (dla nas)—*pudding!* To coś daleko więcej! Na przykład nikomu wszak nie przyjdzie do głowy wychwalanie komfortu życia obozowego, a przecież obóz to wielka rzecz!

Home w swej nieskażonej od wieków formie, ze swymi tradycjami, nakazami, powtarzany w milionowych odbitkach nie tylko wszerz i wzdłuż wyspy Albionu, ale wszerz i wzdłuż całego Imperium — to nieskruszona twierdza życia rodzinnego. To nie gasnące ognisko, promieniujące trwałym ciepłem. " Klimat " tego domu nie jest jednak zakorkowany tylko na użytek prywatny, wciska się, przenika do każdego skupienia ludzi w tym kraju, w progi każdej niemal instytucji, najbardziej oficjalnej i publicznej.

I w tym właśnie . . . właśnie. . . .

Nie dano mi skończyć felietonu. Zakrzyczano, że urlop, że wóz, że pogoda, jak złoto. I na dokładkę —sam *master* (ojciec rodziny), który ten wóz poprowadzi, mając w zanadrzu trochę *petrolu* (zaoszczędzonego). Zanim się więc opamiętałam, siedziałam już w naładowanej maszynie. Jechaliśmy. Dokąd? nikt się zbytnio nie troskał, skoro jechały z nami —rondelki, koce, zapasy skrzętnie zebrane, co się dało z " ration-books " (książeczki żywnościowe),—no i pasażer najokazalszy: składany namiot!

Kiedy wreszcie przecięliśmy ciągnące się bez końca peryferie, kopciuszki i rogatki miasta-kolosa i wjechaliśmy na główny trakt (istne cudo, gładkie, wyślizgane niczym salonowa posadzka) —przypomniałam sobie, iż ta droga londyńska to stara znajoma! Wszak to po niej właśnie, przed laty, pędzaliśmy się wszelkimi możliwymi środkami lokomocji. Znam ją, nie gorzej od kochanej szosy Wilanowskiej! Koledzy moi po piórze twierdzą, że tematy do artykułów leżą na bruku londyńskim, (są tacy, co twierdzą, że i pieniądze leżą . . . również.) Ale na drodze londyńskiej tematy nie leżą, tylko obskakują przygodnego turystę.

Za pierwszą zaraz odnogą, w prawo—wpadamy na tereny sędziwego szmaragdowego parku, (stadka jeleni i łań spacerują tu na swobodzie). Rezydencja Windsorskiego, zębatego zamku. Jedyne to zdaje się średniowieczne zamczysko (budowane jeszcze przez Wilhelma I, w wieku XIV-ym), które dotychczas służy za umiłowane *home* dla wszystkich po kolei panujących władców. Co za fosy, mury, baszty! A przytem, ile pogody i zadumy wieków! Z domu windsorskiego na całą okolicę promieniuje opiekuńcza dobroć królowej Elżbiety.

Z fosami zamku bałamutnie się wije " słodka Tamiza." Przykucnięte nad rzeką, od wieków tu bytuje nie mniej sędziwe miasto, Eton, ze sławnym College (wzniósł je dla potomności Henryk VI w roku 1440). Jedna to z najstarszych w Anglii, uczelnia dla chłopców. Z górą 1,000 pupilów ma wspaniałe warunki do nauki i zapasów sportowych. Eton—dom-szkoła, rządzący się własnym kodeksem prawnym i tradycjami, ukochany jest przez wychowanków, nie mniej od *home*'u rodzinnego. Wielu sławnych ludzi Anglii przeszło przez te historyczne progi, oddając później ojczyźnie niezapomniane przysługi.

Trochę dalej i pyszną drogą-aleją, wysadzaną rododendronami, do *Ascot*, drugiego po Epsom (Derby) królewskiego pola wyścigowego. Anglicy bez różnicy przekonań i pochodzenia, rzec można od spodu do góry—pasjonują się grą w totalizatora.

Niedaleko stąd, schowany w gąszczu stuletnich drzew od oczu ciekawego przechodnia, stoi osamotniony dziś " belweder," prywatny dom b. księcia Walii.

Przy tej samej drodze, tylko dużo dalej, znajduje się jeszcze jeden *home* historyczny, miejsce schronienia najtragiczniejszej białogłowy XIX stulecia, królowej Eugenii. Otrzymawszy gościnę w Anglii, oraz pałac Farnborough z przyległościami, przemieszkała tu w osamotnieniu jeszcze pół wieku. (1871-1920). Tu prześniła swą wielkość, blaski panowania, upadek drugiego cesarstwa, śmierć małżonka, Napoleona III, (zmarł w 1873) r. oraz straszliwa wieść o zgonie syna jedynaka (zginął w Afryce, w wojnie z Zulusami, w r. 1879)—wreszcie samą siebie. Zmarła i pochowana została w Farnborough w kaplicy zbudowanej przez siebie obok muzeum pamiątek po Napoleonie III.

Ale dla mnie w tej uroczej części Anglii, w zalesionym *(wooddy)* hrabstwie Surrey, najmilsze jest miasteczko Camberley. Tu bowiem w najbliższym sąsiedztwie, na terenie *Royal Military Academy* (Królewskiej Akademii Wojskowej) mieszkałam pewnych wakacyj. Stąd właśnie jeździliśmy tak często po wywoskowanej drodze, do Londynu. Ze zrozumiałym sentymentem wracamy zazwyczaj—do miejsc gdzie byliśmy młodzi, niefrasobliwi, mając w dodatku dokoła siebie bujne młode życie.

Szczęśliwa jest młodzież angielska otoczona wszędzie pieczołowitą troską wychowawców, postawiona w idealne warunki pracy i wywczasów. Wszędzie, nie tylko w domu rodziców, znajdzie przede wszystkim atmosferę ciepła, wyrozumiałości, przyjaźni. *Ho[me] sweet home* (" słodki dom rodzi[n]ny ")—będzie w szkole, w każdej wyższej uczelni cywilnej czy wojskowej.

Takim wzorowym " wychowawczym domem wojskowym " jest właśnie R.M.A. powołana do życia w r. 1812 dla " *Gentlemen cadets* " na wymarzonym terenie do ćwiczeń kawalerii i piechoty. Niestety, dziś, wobec wyjątkowego stanu rzeczy, nie zezwala się cywilom spacerować po terenach akademii. Przeszliśmy się raz zaledwie wolniej przed wspaniałym wjazdem, zbudowanym w stylu portyku greckiego, z dwiema bramami: *in* i *out* oraz stojącym na przeciw—pomnikiem Nieznanego Żołnierza. Zawsze leżą tu świeże kwiaty.

Dużo pewno się zmieniło [i] udoskonaliło na terenach Ak[a]demii, ja mam wciąż w pamięci te rozległe jeziora, lasy, wrzosowiska, turnieje sportowe, figle i niewinne zaloty zdrowej na duszy i ciele młodzieży angielskiej, z jej " *salad days* "—okresu zielonego.

Dziś, z młodzieńców powyrastali dzielni, mężni obywatele brytyjscy, spełniający zawsze po gentlemeńsku swój obowiązek w czasie pokoju, czy na placach walki.

Hanna Skarbek Peretiatkowicz

Anglia i Anglicy

UŚMIECHNIJ SIĘ—CIELĘ I CIELĘCINA

Na afiszach wzywających ludność do poświęceń w imię spraw ogólno-narodowych, jak ziemia długa i szeroka, figurują zwykle rzeczy uroczyste: sztandary, wodzowie, herby i armaty. Jeżeli przejdziecie się po Strandzie, tej ulicy Londynu, która prowadzi z Trafalgar Square do Aldwych, zobaczycie w pewnym miejscu olbrzymi afisz nawołujący do oszczędności — koniecznej dla zwycięstwa. I zamiast Lorda Nelsona wskazującego na Trafalgarskie wartości książeczek oszczędnościowych widzimy na nim uśmiechniętego lwa, reprezentującego w danym wypadku Imperium Brytyjskie—grającego w cricket. 99 " kontynentali " na 100 podniesie oczy, głęboko westchnie i powie sobie w duchu, że R.A.F. wprawdzie łoi Niemców, ale powagi za grosz nie ma na Wyspach przez nieporozumienie zwanych Brytyjskimi. Kto to widział, żeby symbol państwa grał w jakąś piłkę w białych spodniach i jeszcze wykrzywiał się. Szarganie świętości i tyle.—

Jeżeli dalej wspomniany " kontynental " powie o swoim oburzeniu czy politowaniu przedstawicielowi jednego z narodów Brytyjskich, np. Anglikowi to ten go w ogóle nie zrozumie. Rzecz bowiem przedstawia się w ten sposób. Od dwóch tysięcy lat prawie mieszkańcy Anglii, Szkocji, Walii, Kornwalii, Irlandii i wysp drobniejszych podrzynali sobie gardła i rozbijali głowy o t. zw. sprawy zasadnicze, inaczej o idee. Dla idei, wartości oderwanych poświęcano wiele rzeczy dotykalnych—złych i dobrych, słusznie i niesłusznie. W imię zasad wypędzono w swoim czasie rodzimą, albo prawie, dynastię Stuardów. Opierając się na przesłankach teoretycznych Henryk VIII-y obcinał żonom głowy a premier Gladstone, liberał o gołębim sercu poświęcił z zimną krwią Generała Gordona w Chartumie, co było bardzo nieładną historią. I co najzabawniejsze w ciągłej walce o idee nigdy nie troszczono się czy wiążą się one z sobą logicznie. Stąd dziś mamy socjalistycznych arystokratów i mocną monarchię, opierającą się częściowo na tradycji rokoszu i królobójstwa.—Zawsze chodziło o wyniki a nie o przesłanki.

Po kilku latach bijatyk zasadnicze rzeczy zapadły tak głęboko w duszę, że dzisiaj można o nich mówić z uśmiechem, osiadły one tak mocno, że można z nich żartować. I dlatego w chwilach prawdziwych niebezpieczeństw i trudności Anglicy, Szkoci, Irlandczycy i Walijczycy nie potrzebują krzyczeć, żeby sobie dodać odwagi —tak jak małe dzieci, które śpiewają, idąc przez ciemny las— wspominają przeszłe walki i zwycięstwa, zasady, o które przelano tyle krwi—i . . . uśmiechają się. Żartują ze śmiercionośnych Heinkli i Junkersów, ze schronów i alarmów, z siebie samych wreszcie. Polacy, jak się zdaje, też usłuchali rady: " uśmiechnij się "—już dziś w polskich obozach w Szkocji R.A.F. zamienił się w " Rafałka."

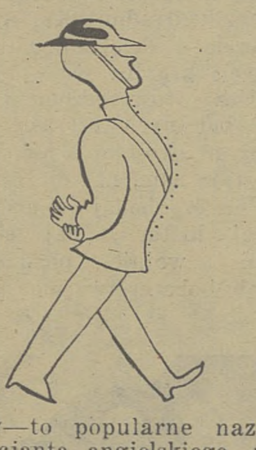
* * *

Już skoro się mówi o inwazjach, to trzeba jednak stwierdzić, że pozostawiły one po sobie dużo śladów. Na przykład taka drobna rzecz, jak cielęcina. Kiedy jest ona jeszcze żywym cielakiem nazywa się *" calf,"* wątróbka nazywa się po angielsku *" calf's liver "* a cielęcina najbardziej nieoczekiwanie *" veal."* Zdawało by się brak logiki, a tu tymczasem chodzi o bardzo dawne wspomnienia historyczne. Kiedy Normanowie podbili wyspy, podbili równocześnie ich ludność—Saxów. Oczywiście zostali oni zapędzeni do czynności podrzędnych, pasali między innymi bydło i na cielę krzyczeli po swojemu: " calf." Kiedy cielę było zabite szło na stół normandzkiego barona jako " veal " czyli też cielę, ale po normandzku, a wnętrzności wyrzucano pastuchom i stąd *" calf's liver."*

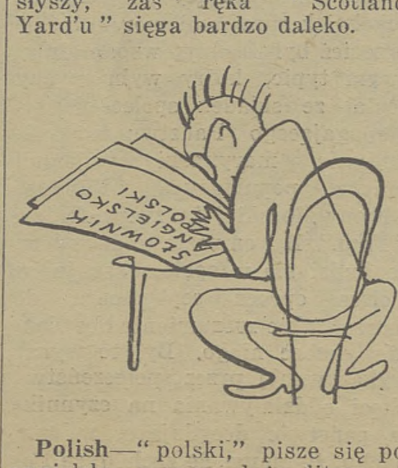
Ktoś może powiedzieć, że wszystko to jest może i prawdziwe, ale co to ma wszystko do rzeczy, do dzisiejszej ciężkiej sytuacji. *Keep smiling*—uśmiechnijcie się. Być może, że za 300 lat, kiedy i śladu nie będzie po dzisiejszych kłopotach i ludziach, którzy je mieli, imiona Kazimierzów, Stanisławów i Zbigniewów będą wciąż się powtarzały w Glasgow i jego okolicach, bliższych i dalszych na pamiątkę dzisiejszych dni.

Anna Grey

ABC angielsko-polskie



Bobby—to popularne nazwanie policjanta angielskiego, ulubionego przez wszystkich bez wyjątku zarówno Anglików, jak i cudzoziemców. I słusznie. Policjant angielski zachwyca wyszukaną grzecznością, wyglądem marsowym, a jednocześnie —łagodnością, której Anglicy nie nadużywają, a więc i my powinniśmy nauczyć się z Prawem ziemi angielskiej nie igrać. " Samodyscyplina " jest teraz bardziej, niż kiedykolwiek niezbędna. Zresztą policjant angielski bardzo lubi sporty—jak każdy Anglik—i jest doskonale wygimnastykowany i silny. . . . Nie obawia się nawet spadochroniarzy nieprzyjacielskich. Z pełnym zaufaniem zwracają się do niego wszyscy, nawet dzieci z prośbą na przykład o przeprowadzenie na drugą stronę jezdni. Jak wielka jest dyscyplina i jak wysoki poziom społeczny Anglików osądzić możemy z następujących wprawdzie przedwojennych danych: w " City " londyńskim, gdzie jak wspominamy na innym miejscu, przewija się dziennie blisko milion ludzi, tradycyjnie lokalna policja liczy tylko 1,100 ludzi! Zaś policja Wielkiego Londynu, miasta o promieniu 24 kilometrów od placu Charing Cross, liczy tylko 20,000 ludzi. Nie znaczy to bynajmniej, że cudzoziemcy są zachęcani tymi cyframi do złego prowadzenia się, gdyż władza angielska wszystko widzi i słyszy, zaś ręka " Scotland Yard'u " sięga bardzo daleko.



Polish—" polski," pisze się po angielsku zawsze dużą literą, i wymawia " połlisz " w odróżnieniu od *" polish "* (przez małe " p ") wymawianego " polisz," i oznaczającego: ogładę, politurę, blask, czyszczenie. . . . Skoro więc jakiś rodak mówi o sobie, że jest " polish," Anglik takim przechwałkom, często teoretycznym, przysłuchuje się sceptycznie. . . . Zaś Polacy, widząc, że wszystkie pasty do obuwia nazywają się w Anglii " polish " — przeżywali chwilę miłego wzruszenia. . . . Uważajmy więc na pisownię i na wymowę, jeśli potrafimy. Na tym zresztą nie koniec, jeśli idzie o tę " politurę, ogładę, czyszczenie ": *the Pole* to Polak (wymowa: połl), lecz *the pole* to: 1) biegun, 2) dyszel, 3) pręt mierniczy. . . . Zaś Polly (wym.: Polli) to imię żeńskie.—I bądź tu mądry, by jednego z drugim nie pomieszać. Pozostawiamy fantazji naszych czytelników układanie—po angielsku—najzabawniejszych zdań różnoznaczeniowych z: Polish, polish, Polly, Pole, pole, z dodaniem ewentualnie wyrazów fonetycznie pokrewnych: poult (pułt)— drób, kurczę; pool (wymawiaj: puul) to—1) kałuża,—2) pula w grze,—lub 3) utworzenie wspólnego funduszu. . . . Trzy znaczenia tego " poola " niezupełnie ze sobą pokrewne! A " pollack " (wymawiaj: polek) toć to przecież rodzaj ryby! Takiej ryby, co zawsze gdzieś dopłynie. . . . Zawsze twierdziłem, że słownik to bardzo mądra i pouczająca księga. A może " Polak " pochodzi od angielskiego " pollack " ? . . .



Waga—Ważenie nastręcza Polakowi w Anglii bodaj, że więcej jeszcze trudności, niż mierzenie długości. Ważenie jest bowiem zwykle połączone z jednoczesnym obliczeniem ceny (chyba, że ktoś siebie waży, by zobaczyć ile mu przybyło na angielskim wikcie serdecznych nowych gospodarzy); przyzwyczajeni do systemu metrycznego, stajemy przed problemem: " ile ma lat konduktor tramwaju Nr. 3 zmierzającego o godzinie szóstej do Placu Zbawiciela? "—Lub: " Ile groszy waży jeden banan, skoro 1 " libra " i 4 " ounces " (uncje) kosztują, powiedzmy, 1 funt (rozumie się: szterlingów!) i tam ileś " d " (pensów)." Przykład oczywiście z dziedziny fantazji, wynika z niego jednak, że w Anglii waży się librami, podczas gdy my librami mierzymy papier, zaś płaci, jak już każdy wie, funtami. Tym bardziej więc powinniśmy zapamiętać angielskie miary. Na tym miejscu podajemy miary wagi, używane powszechnie w handlu: Więc funt angielski (po ang. " pound," w skróceniu " lb " od łacińskiej " libra ") jest nieco mniejszy od funta naszego, bo odpowiada 453,5 gramom. Anglicy dzielą go na 16 uncji (" ounze " w skrócie: " oz."—1 oz. 28.3 gr.) a 1 uncję na 16 " drachm " (w skrócie: " dr," co znowu nie ma nic wspólnego z medycyną). 1 drachma to niecałe 2 gramy (dokładnie: 1,77) dzieli się ona jeszcze na 27 i pół " grain."—Powiedzmy że 14 funtów ang. (lb) składa się na 1 " stone legal " (st) = 6,350 kg., choć " stone " rzeźnicki (butcher's meat) waży tylko 8 lb—Wreszcie 1 " quarter " (qr) to 28 lb. czyli 2 st.; zaś 4 takie " quarters " czyli 112 ang. funtów równają się 1 " english hundredweight " (w skrócie: cwt) = 50,802 kg.— Zato 1 " ton " angielska odpowiada dosyć dokładnie naszej tonnie, bo równa się 1,016 kilogramom i 48 gramom.

Zygmunt Frenkiel

Rysunki do " ABC angielsko-polskiego " w tym numerze i poprzednich wykonał Tef

Pełnimy służbę OPL

Wieczorem, szef odczytując rozkaz dzienny zaznacza: służba opl drużyna pierwsza.

Oznacza to, że od jutrzejszego poobiedzia do poobiedzia dnia po nim następującego, przez bite 24 godziny służbę obrony przeciwlotniczej na jednym z punktów naszego postoju pełnić będzie drużyna, do której należę. Zadanie wdzięczne, zadanie odpowiedzialne, zadanie w pełni bojowe, jak przystało na drużynę ciężkich karabinów naszynowych.

Oznacza to równocześnie, że niezależnie od czuwających stanowisk artylerii, i my karabiniarze piechocińscy, czuwać będziemy nad bezpieczeństwem pewnego punktu miejsca naszego postoju.

Służba opl, przetłumaczona na język wewnętrzno-koleżeńskich stosunków, oznacza, że na stanowisko pójdą razem z autorem niniejszego pod dowództwem inżyniera podchorążego, i Franciszek, i Mietek, i Władek, i Staszek, i Jacek ze śpiącym wiecznie Julkiem-wirtuozem.

Mija obiad dnia następnego. Drużyna "opłowa," każdy na sobie samym gromadzi skromny dobytek żołnierski. I hajda na przełaj, na ów baczny punkt, gdzie dzień i noc pełni służbę jeden z licznych posterunków czynnej obrony przeciwlotniczej. Droga dłuższa, pnie się w górę. Dobytek pouwieszany gdzie się da na posturze obowiązkowego karabiniarza. Za siódmym potknięciem i za siódmym potem—nareszcie docieramy do stanowiska, skąd nasze kochane cekaemy kłaść mogą krzyżowy ogień, ubezpieczający pewien wycinek terenu.

Z daleka nas wypatrują i spostrzegają wyczekujący komilitoni. Grzmi na odległość głośne hurra. Witamy się. Oni zdają nam regulaminowo służbę, my służbę przyjmujemy. Raport. Krótki rekonesans stanowiska. Oni majestatycznie schodzą ze stanowiska, dźwigając swe żołnierskie lary i piernaty, (och, jakie tam piernaty!). My zaś z całą powagą obejmujemy stanowisko w 24 godzinne posiadanie, aż do następnej zmiany.

Pierwsza rzecz: Sprawdzenie ilości i jakości amunicji. Dodatkowe przecieranie maszynki, aby, gdy potrzeba, funkcjonowała jak najsprawniej. No, i rozłożenie dyżurów. Z tym nie ma zasadniczo kłopotów, jak ten tylko, że znakomita część obsługi życzyłaby sobie dyżurować nad ranem, jako, że to największa możliwość pukającej "roboty." Inżynier—podchorąży załatwia rzecz kompromisowo. Wyznaczony obserwator. Wyznaczone pierwsze obsługi. Rozplanowanie czasu dużyrów. Nawiasowe przewidywania co do przypuszczalnej pogody, i stąd mniej lub więcej bojowe wnioski.

Służba biegnie automatycznie. Każdy już wie, co ma robić, gdy przyjdzie moment. Zmiany aktualnie nie objęte—wykorzystują maksymalnie czas jak mogą. Staszek pisze listy wielostronicowe do swej ślicznej szkockiej narzeczonej. Franciszek jemu te listy tłomaczy na angielski. Władek i Mietek każdy na swoją rękę zapoznają się z mową Szekspira i Dickensa. Julek zgrywa się, jak szalony w brydża. Jurek zaś miłośnik zoologii, poszukuje królików taką długą lunetą, co to się zowie karabin.

Mijają godziny, a tu tymczasem nic. Kaemy są gotowe posypać śmiertelnym ogniem germańskiego rozbójnika. Tym czasem nic. Obserwator natęża słuch i wzrok. Nic. Zastrajkowały widocznie śmigła niemieckie. Słuch i wzrok pracują do tego stopnia, że można usłyszeć, że można wypatrzeć Polskę. Nie ma niemieckich samolotów.

. . . Wcale to nie przeszkadza, że wieczorem, u końca dnia dowiadujemy się z komunikatu "Deutsches Nachrichten Büro," że niezwyciężone lotnictwo Trzeciej Rzeszy bez przerwy przez cały dzień bombardowało Szkocję, że Szkocja cała w gruzach. . . . Jakoś tego w praktyce nie widać.

Ręka po prostu świerzbi. Taśmy nałożone. Przyrząd spustowy kusi. Po prostu chciało by się w coś niemieckiego a samolotem latającego wycelować.

Naraz obserwujący nieboskłon Franciszek-*François*, fanatyczny Polak z emigracji francuskiej—zrywa się. Podrywają się za nim wszystkie potrzebne i niepotrzebne obsługi. Z daleka słychać warkot lotniczych silników. Jakiś inny, subtelniejszy, niż warkot samochodowy.

W brzasku słonecznym leci eskadra.

Rozpoznajemy znaki—każdej chwili gotowi do "roboty." Znaki—niestety!—angielskie. W ekipie "na oplu" wyraźny zawód. Czemu nie niemieckie. Pokazalibyśmy, co umiemy. . . .

—Ja pieprzyłem Hitlera—odzywa się wreszcie głosem pełnym zawodu Franciszek-*François*, używający dość często czasu przeszłego zamiast teraźniejszego.

—No, wyobraź sobie, Czereśniowski,—odzywa się Staszek, stale moje trzecie "e" zamieniając na dostojne "o."—Na ser mater z takim opl. Czekamy na Niemców, a tu leci taka eskadra angielska. . . .

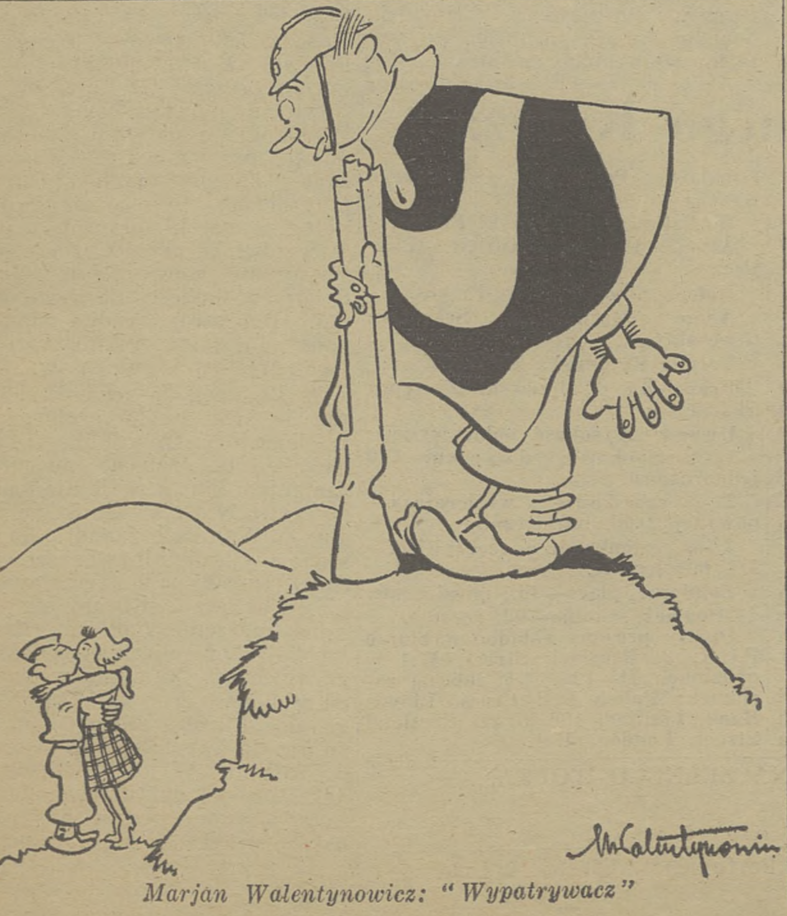
To mówiąc głosem pełnym zawodu układa ramię prawe na kształt bumeranga, chcąc w tak umowny sposób wyrazić zarazem swoje uznanie dla angielskiego lotnictwa.

Tak mijają godziny. Tak mijają dnie za dniami na stanowisku opl. Jakoś Niemca nie można uświadczyć, nie bez tego wszakże, żeby którejś tam nocy, gdzieś wysoko nie można było posłyszeć charakterystycznego szumu bandyckiego Dorniera, znanego nam tak dobrze z polskiego, zesłoroczznego września.

Wiara się pali do walki. Brać żołnierska wie, że każda kula, wystrzelona przez polskiego strzelca—niesie nam radość, przybliża pokonanie odwiecznego wroga, przygotowuje drogę powrotu.

Któżby nie chciał jako zwykle

Wawrzyniec Czereśniewski



Marjan Walentynowicz: "Wypatrywacz"

Z życia obozów

Żołnierz polski na ekranie

Sala kinoteatru w małym miasteczku "gdzieś w Szkocji" natłoczona do ostatecznych granic swej pojemności bracią żołnierską; z tyłu na "służbowych miejscach" właściciel kina i dwuch konduktorów autobusu, którzy wprosili się na seans. To pierwsza widownia filmu: "Jeszcze Polska nie zginęła."

Przed ekranem zjawia się autor scenariusza st. strzelec J. Budzyński i w kilku zdaniach streszcza dzieje filmu, który dzięki inicjatywie "Polish American Film Corporation," przy współudziale gromady ludzi dobrej woli z p. Franciszkiem Ożgą na czele został nakręcony we Francji. Po raz pierwszy może w dziejach kinematografii robiono zdjęcia bez ścisłego planu; fotografowano "na gorąco" różne przejawy życia i pracy polskiego żołnierza w obozach, polskich władz i cywilnego społeczeństwa na ziemi francuskiej, a dopiero później połączono obrazy i zmontowano według pewnej myśli przewodniej, dodając słowo objaśniające i ilustrację muzyczną.

Lampy na sali gasną, na ekran padają strugi światła, a równocześnie rozlegają się tony poloneza Chopina. Od razu wzruszenie chwyta za gardło. To znana melodia! Poznajemy dźwięki, te same, które w roku ubiegłym przebijały się przez warkot zagłuszających radiostacyj niemieckich i, jako sygnał radiowy rozgłośni Warszawa II, świadczyły, że stolica broni się i czuwa. Cichnie muzyka, a na ekranie ukazują się obrazy Polski w dniu pamiętnym 1 września 1939 r., rolnicy pracujący w polu, robotnicy śpieszący do fabryk, dzieci rozbawione na łące. Na sali bolesne westchnienie, tu i ówdzie nawet stłumiony płacz. Nagle na niebo ekranu wypływają czarne sylwetki samolotów: jeden klucz, drugi, trzeci—całe gromady drapieżnego ptactwa wojny. Padają bomby, w gruzy walą się wsie i miasta, niszczeje dorobek długoletniej pracy, gasną żywoty ludzi: młodych i starych, kobiet i dzieci. Na widowni grobowe milczenie. Widzę w półmroku jak czyjeś ręce zaciskają się kurczowo na poręczy krzesła. Rozbrzmiewa marsz żałobny Chopina, jakby podzwonne Rzeczypospolitej i Jej wiernym obrońcom. Żołnierze płaczą.

Ale już nastrój się zmienia, bo następne obrazy przenoszą nas do Francji. Na ekranie zjawia się mały, fukający parą i dymem samowarek, potem mała stacyjka. Na sali poruszenie i szepty: "Koczkodan, Koczkodan!" Oto i brama wjazdowa z tarczą herbową i napisem: "Camp de Coëtquidan," oto powiewające na wietrze sztandary Francji i Polski. Potem znany krajobraz: lesiste wzgórza i długie szeregi baraków gotowych i w budowie. "Ależ zimno tu było—niech go siarczyste pierony" — przypomina sobie ktoś głośno jesienne przeżycia. Znowu nowy obraz: gromadka rekrutów w cywilu, potem w ćwiczebnych mundurach.—"Ale ten się wystroił"—pada złośliwa uwaga a żołnierze wybuchają śmiechem na widok jakiejś znajomej twarzy i niezgrabnej postaci, stąpającej ciężko, po niedźwiedziemu w olbrzymich butach. Potem dalsze obrazki: ćwiczenia, obieranie ziemniaków na obiad, pranie bielizny w rzece, życie w świetlicy. Na ekranie zjawiają się strzelcy z Polowej Czołówki Teatralnej—dawnej "Lwowskiej Fali": już Szczepko jak zwykle "obsztorcowuje" Tońka, już ktoś poznaje Wieszczka, Budzyńskiego, już śpiewa Włada Majewska.

Szybko przesuwają się obrazy: pierwsze posiedzenie Rady Narodowej. Zagaja Prezydent "very smart gentleman"—słyszę uwagę kiniarza, a po chwili ukazuje się dostojna postać Ignacego Paderewskiego. Teraz znowu dwaj konduktorzy udzielają sobie półgłosem wyjaśnień na temat osoby wielkiego artysty. Przemawia Naczelny Wódz krótko, po żołniersku, przypominając cel jedyny dążeń wszystkich Polaków odbudowę państwa przez odbudowę armii.—Zmiana na ekranie : Angers, dzień pracy Pana Prezydenta, wizyta ambasadora Stanów Zjednoczonych, widoki z ulic miasta andegaweńskiego, które zastępowało nam na obczyźnie—Warszawę. Wracamy znowu do żołnierzy: wielki pokaz ćwiczeń bojowych rozpoczęty alarmem. Doskonałe tempo akcji, duża sprawność oddziałów piechoty i artylerii rzucają się w oczy od razu. Końcowa scena szturmu na wzgórze bardzo dobrze "chwycona," poczem zmiana nastroju: obiad i odpoczynek, kilka zbliżonych zdjęć twarzy i już na widowni padają nazwiska i zaczyna się szukanie znajomych. Ktoś siebie odnalazł nawet i zwrócił na to uwagę sąsiadów, więc śmiech rozbrzmiewa chwilowy, stłumiony psykaniem, bo już inne obrazy przykuwają uwagę żołnierskiej widowni.

Paryż! Wspaniałe, a bliskie sercu każdego Polaka miasto, Łuk Triumfalny, pod którym w chwale wiecznej spoczywa Nieznany Żołnierz, syn bohaterskiej Francji z lat 1914-1918, Pola Elizejskie, Plac Zgody, piękne pałace, zabytki sztuki—cała stolica Francji, dziś stopą najeźdźcy shańbiona, zjawia się przed naszymi oczyma. Żal ściska serce na myśl o klęsce i niewoli wspaniałego narodu. Wzruszenie potęguje się jeszcze, gdy na ekranie przesuwają się widoki polskich instytucyj w Paryżu (czcigodna Biblioteka Polska, kościół, dom polski, praca ofiarna Czerwonego Krzyża).

Już niknie z oczu stolica Francji, a na srebrzystej powierzchni ekranu pojawia się żołnierz, główny aktor i wykonawca całego obrazu. Widzimy wręczenie sztandarów saperom, pierwsze samoloty, ozdobione biało-czerwoną szachownicą wzbijają się w powietrze. Lotnicy polscy, żegnani przez Naczelnego Wodza, ruszają w bój. Później podobna uroczystość w Brygadzie Strzelców Podhalańskich: wręczenie sztandaru i niezapomniana chwila przysięgi. Widocznie dzień był pochmurny, bo szeregi żołnierzy jakby zamglone wydają się z daleka. Sztandar z rąk Wodza odbiera uwielbiany przez swoich żołnierzy generał Szyszko-Bohusz. Na sali szmer wzruszenia w kącie, gdzie zgrupowali się Podhalanie. Jakieś szepty: "może wróci nasz generał?"

Ale już znowu cisza wielka zapada, bo szeregi na ekranie przysięgają Polsce wierność, a wrogowi walkę nieubłaganą. Oczy żołnierskie mocno, niemal żarłocznie wpijają się w ekran; padają ciche słowa: "o, widzisz,—Staszek! Jest z nami w drugiej kompanii, Wojtek też, a Zbyszek—to tam został!" Rozumiemy! Zbyszek był jednym z tych, którzy pierwsi dopełnili przysięgi i padł na skalistym wzgórzu pod Ankenes. Wspomnienia biegną na pola krwawych walk, ale nastrój już znowu wesoły, bo oto znowu odszukano znajomą twarz, a kolega relacjonuje krótko: "a ta oferma byczy się gdzieś w Szwajcarii."

I jeszcze jeden obraz—ostatni: odjazd do Norwegii. Długi szereg wozów kolejowych, ładowanie, pożegnania i piosenka "Wrócimy." Ostatni raz rozpływa się w dali, cichnie marsz. Pojechali po sławę i trudy, po zwycięski laur i krzyż drewniany, który znaczy największe poświęcenie żołnierskie. Cicho wypływa i co raz bardziej potężnieje melodia, która stała się natchnieniem filmu, wyznaniem niezłomnej wiary wszystkich Polaków: "Jeszcze Polska nie zginęła." Widzowie porywają się z miejsc, podchwytują melodię i śpiewają z uśmiechem. Szkoci powstają z uszanowaniem. Gasną promienie na ekranie, zapalają się lampy, ten i ów z żołnierzy łzy ociera, a wzruszeni są wszyscy. Nawet stary Szkot, właściciel kina, który deklaruje bezpłatnie salę i pracę przy wyświetlaniu i dwaj konduktorzy, którzy ściskają gorąco dłonie żołnierzy i coś im gwałtownie perswadują; zapewne i oni chcą się podzielić z nami wiarą, że "Polska nie zginęła"!

Ludwik Bojczuk

* * *

Piosenka obozowa na nutę powstańczego śpiewu z 1863 roku: "Gdy naród do boju wystąpił z orężem. . . ." Inicjatywa kpt. Jana Maniewskiego. Słowa adoptował Czereśniewski Wawrzyniec, do melodii dostosował Stefan Politowski.

Gdy Polska do boju najlepsze śle męże,
Bandyci niemieccy hulają,
Chcą naród wygubić ognistym orężem,
Czołgami po drogach się czają.

Refren

O, biada—Hitlerze—Stalinie,
Za więzy niewoli i męki,
Za płacz naszych rodzin i kraju zniszczenie,
Wy wnet z naszej zginiecie ręki!

Gdy wojsko natarcie gotuje z za Buga,
Bolszewik śladami carycy,
Fałsz niesie na miejsce naszego tam pługa,
I grabież wśród wschodniej granicy.

Refren

Gdy Polskę skrwawiły bombowców wyczyny,
Nie zdławią w narodzie swobody,
Dziś każdy jest twierdzą po Bałtyk nasz siny
Czy starzec z siwizną, czy młody.

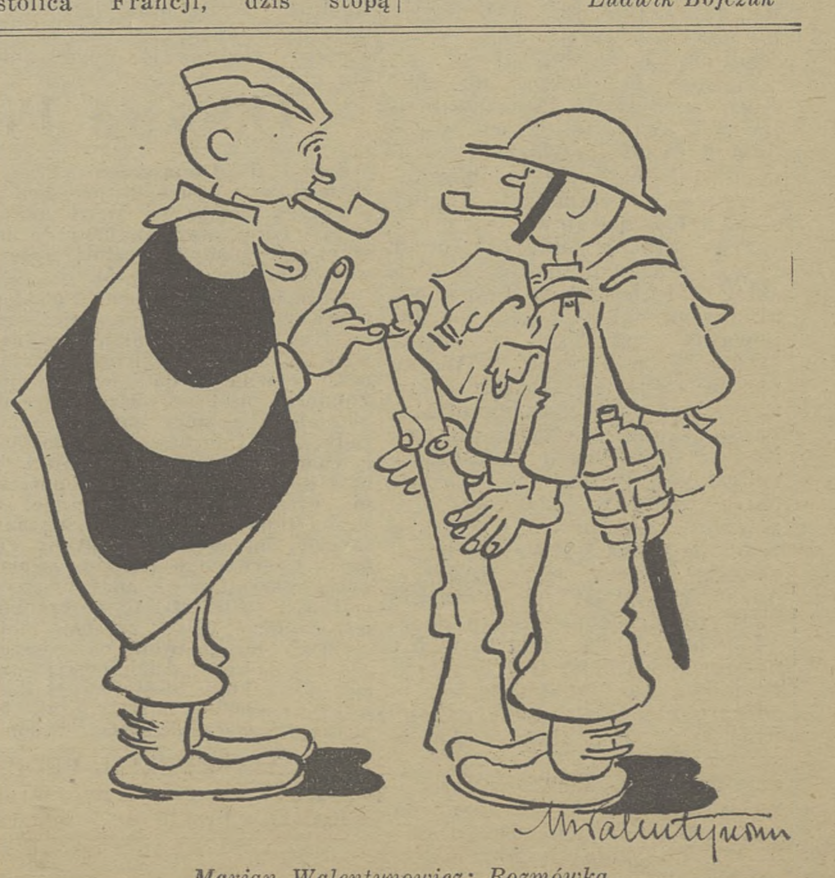
Refren

Bo Matka Najświętsza da nam z Jasnej Góry
Opiekę i wciąż dopomaga,
I padną wszelakie wokoło nas mury,
I polska uniesie się flaga.

Refren

Swe ziemie ogarnie wkrąg Rzeczpospolita,
Od Odry aż po Dniepru brzegi,
Królewiec i Wrocław, bo przyszłość odkryta,
Powrócą w Macierzy szeregi.

Refren



Marjan Walentynowicz: Rozmówka

Pierwszy września w jednym z obozów polskich

W pierwszą rocznicę wojny w Szkocji odbyła się uroczystość, stwierdzająca nieprzerwane istnienie walczącej Armii Polskiej i jej braterski związek z Armią Wielkiej Brytanii. W czasie tej uroczystości Lord Provost (burmistrz) miasta Glasgow wręczył Prezydentowi R.P. od społeczeństwa szkockiego ręcznie haftowany proporzec, który Wódz Naczelny osobiście oddał w opiekę oddziałowi rozpoznawczemu Pierwszej Brygady Strzelców.



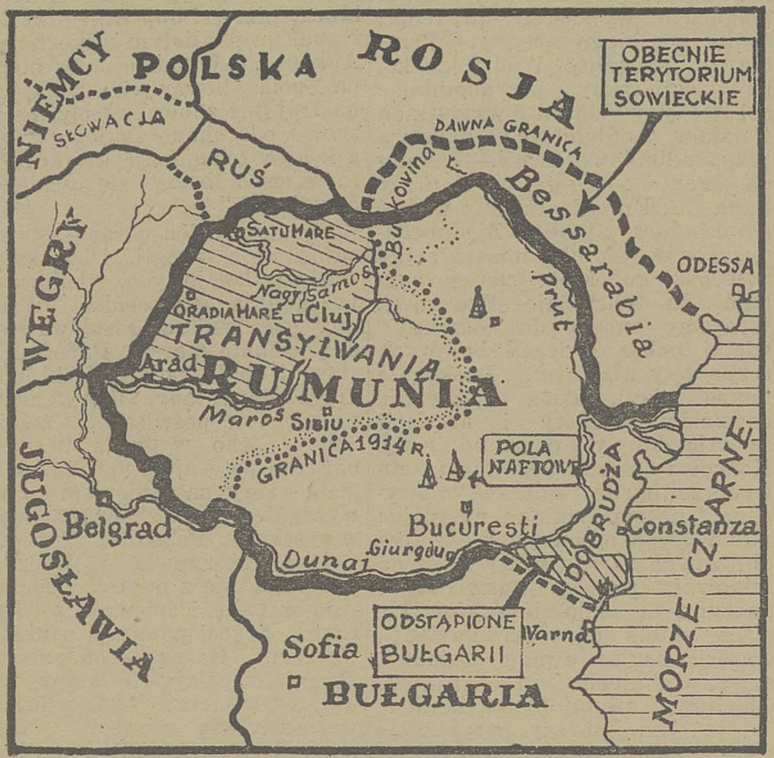
Lord Hamilton delegat króla Jerzego VI., Naczelny Wódz, Prezydent R.P. i Lord Provost.



Wręczenie sztandaru dowódcy oddziału

Przegląd polityczny

W chwili, gdy piszemy te słowa słychać nad Londynem znajomy dobrze brzęk roju dokuczliwych os. Bombowce



Mapka przedstawiająca rozbiór Rumunii.

niemieckie krążą nad miastem i od 48 godzin mamy serię nalotów, będącą właściwie jednym, długim atakiem na stolicę W. Brytanii. A w dniu wczorajszym atakowane były wszystkie ważniejsze miasta zarówno północnej, jak i południowej Anglii. Ofensywa niemiecka weszła w ostre stadium. Lecz dotychczowe jej rezultaty nie mogą uchodzić nawet w Berlinie za zadawalniające. W ostatnim tygodniu—do dnia 2 września włącznie—strącono 481 ciężkich bombowców niemieckich, natomiast Anglicy stracili 117 aparatów.

Pozwoliliśmy sobie przytoczyć te cyfry z komunikatów angielskiego Ministerstwa Lotnictwa, albowiem stanowią one bardzo poważny czynnik w ocenie sytuacji politycznej. Wojna obecna różni się zasadniczo od wszystkich poprzednich kampanij europejskich. Nie tylko dlatego, że jest to wojna o charakterze religijnym, wojna w obronie chrześcijaństwa, ale jest to również walka przede wszystkim psychologiczna. Hitler uderzał wówczas, kiedy pod względem duchowym zdołał już poważnie nadwyrężyć zdolność oporu danego społeczeństwa. Jest to wojna nerwów, obliczana w pierwszym rzędzie na zastraszenie i zdezorganizowanie życia danego państwa. Otóż atak na Anglię stanowi poważny wyłom w długim szeregu sukcesów nazistowskich. Okazało się, że naród angielski posiada bardzo solidne nerwy. Okazało się również, że posiada on, prócz floty—również doskonale zorganizowane siły powietrzne. Lotnicy angielscy są lepsi od niemieckich i rozporządzają jakościowo lepszym materiałem. Daty "zajęcia Londynu" ustawicznie przesuwane w Berlinie i Rzymie szczęśliwie mijają, a natomiast co raz to częściej zjednoczona prasa obu faszyzmów napomyka o "możliwościach długiej wojny."

"Byliśmy zawse przekonani—pisze "Volkischer Beobachter"—że Anglii nie można będzie powalić jednym uderzeniem."

Nieprawda. Wcale o tym przekonani nie byli. Przeciwnie, "zwycięski koniec wojny" zapowiadali na początek, potem środek a wreszcie koniec sierpnia 1940.

Im skuteczniejszy jest opór Anglii, tym poważniej wzrastają szanse oświadczenia się Stanów Zjednoczonych po stronie W. Brytanii. Lotnicy amerykańscy zgłaszają się masowo do służby angielskiej. Wielkie zakłady przemysłowe przyjmują olbrzymie zamówienia brytyjskie. Tak np. przyjęto zamówienie na budowę w ciągu najbliższych miesięcy—20,000 ciężkich bombowców najnowszego typu. Wiadomości o wspaniałym oporze angielskim wywołują entuzjazm za Oceanem. I nabiera się co raz większego przekonania, że Hitler, dekorując nowo upieczonych marszałków najwyższym orderem" Czarnego Orła za "ostateczne zwycięstwo na Zachodzie"—za bardzo się pośpieszył. Wojna będzie i długa i ciężka, ale właśnie dlatego, każdy dalszy miesiąc walki jest klęską osi. W świecie, steroryzowanym pogróżkami nazismu i zaniepokojonym sukcesami Hitlera—zaczynają świtać promyki nadziei.

Wymownym tego dowodem jest przyłączenie się francuskich prowincyj środkowo—afrykańskich do koalicji—największe wydarzenie polityczne ubiegłego tygodnia.

O wiele większe i o wiele donoślejsze, aniżeli nowy podział Rumunii. Pod naciskiem Berlina i co raz to mniej mających do gadania Włoch—rząd króla Karola przyjął tak zwany "arbitraż wiedeński," czyli po prostu powiedziawszy ultimatum Trzeciej Rzeszy w sprawie odstąpienia większej części Siedmiogrodu Węgrom. *Rumunia traci wszystkie swoje północno-zachodnie obszary z ludnością* 2,750,000 *mieszkańców.* Według statystyki bukareszteńskiej ludność ta jest w większości rumuńska. Na 1.000.000 Węgrów ma przypadać 1.500.000 Rumunów i 250.000 Niemców, tz. "Szeklerów." Ci ostatni dostaną naturalnie z miejsca autonomię i będą czynnikiem wzmacniającym wpływy niemieckie w tej nowej prowincji węgierskiej. Odstąpiony obszar stanowi najbogatszą część Siedmiogrodu z miastami Oradea, Cluj i Dej oraz ze znacznymi pokładami miki tudzież złota w Baia Mare. Nowa granica biegnie w fantastyczny sposób, wcinając się ostrym klinem w Rumunię koło Brassov. Wzamian za to uzyskuje Rumunia "gwarancję" nietykalności reszty obszaru.

Niewiadomo jednak, czy gwarancja ta zapobiegnie dalszemu pochodowi Rosji w stronę Dolnego Dunaju i Ruszczuku. W Moskwie bowiem nie tai się dążeń do wybicia sobie okna na Morze Śródziemne, przez Bułgarię. W [illegible] sposób następca Lenina i zawodowy "przeciwnik imperializmu," Stalin, chce urzeczywistnić wielkie marzenie wszystkich carów rosyjskich, począwszy od Piotra Wielkiego i Katarzyny, jakim był dostęp do Konstantynopola i zapanowanie nad cieśninami, Bosforem oraz cieśniną Dardanelską. W Sofii wpływy włoskie, tak silne przed wojną wyrugowały całkowicie wpływy moskiewskie, określane od niedawna jako "tradycyjne." Do roku 1939 zwalczano w Bułgarii "barbarzyństwo bolszewizmu." i "czerwoną zarazę." Dzisiaj mówi się o "odwiecznej przyjaźni." Podobnie jest zresztą w Jugosławii, która, według obrazowego wyrażenia belgradzkiego "śpi spokojnie w cieniu miecza (tak!) Związku Sowietów."

To wszystko jednak spędza sen z oczu politykom tureckim i greckim. Sprawa podziału Rumunii odwlekła datę okupacji Grecji przez wojska włoskie. Nie ulega wątpliwości, że nacisk Rzymu na Ateny ponowi się w najbliższym czasie. Atak faszystowski nastąpiłby już dawno, ale na przesunięcie jego terminu wpłynęły dwa czynniki. Więc przede wszystkim niezakończona jeszcze dyskusja w Berlinie, komu ma przypaść jeden z najważniejszych portów śródziemnomorskich, a mianowicie port salonicki. *Powtóre, we Włoszech liczą się poważnie z faktem, że atak na Grecję może wywołać zbrojny protest Turcji.* Otóż takie rozszerzenie frontu walki na Morzu Śródziemnym nie leży w interesie Włoch. Stąd też zgłasza się w Rzymie na razie tylko częściowe pretensje: *do wyspy Korfu i obszarów w północnej Tessalii.* Są to oczywiście terytoria na wskróś greckie i Włochów nie ma tam ani śladu. Jakim prawem więc Mussolini żąda "zwrotu" tych obszarów? Otóż chodzi tu o "nieprzedawnione prawa historyczne z pierwszego wieku przed Chrystusem." Po prostu nowy Rzym rewindykuje posiadłości dawnego Rzymu. Doprawdy, trudno odmówić państwom dyktatorskim zadziwiającej prostoty argumentów.

W Budapeszcie powiewają chorągwie hitlerowskie i obnosi się po ulicach portrety Führera, a w Bukareszcie żałoba narodowa, zamknięte kina a radio nie nadaje muzyki. Nie ma jednak powodu, aby na Węgrzech zanadto się cieszono a w Rumunii za bardzo smucono. Dopóki wojna trwa—wszelkie ćwiartowanie Europy ma takie samo znaczenie, jak owe słynne "pokoje" niemieckie z Czarnogórą, Rosją i Rumunią w okresie od roku 1915 do roku 1918. Nowe granice Europy oznaczy ten, kto naprawdę zwycięży. A jesteśmy przekonani, że dotychczasowych dyktatorów i dyktujących "traktaty"—spotka jeszcze nie jedno bardzo przykre rozczarowanie

tk

Odezwa Polskiego Czerwonego Krzyża

Zmuszeni do opuszczenia Francji, znaleźliśmy gościnne przyjęcie i braterską pomoc na ziemi angielskiej. Tutaj przystępujemy do dalszej pracy, aby wypełnić spoczywające na nas obowiązki.

Naczelnym zadaniem Polskiego Czerwonego Krzyża jest opieka nad rannym i chorym żołnierzem oraz udzielanie pomocy jeńcom i ludności cywilnej, dotkniętej wojna. Żołnierze nasi w obozach jeńców potrzebują pomocy zarówno materialnej, jak i duchowej. Niedostatek i choroby, którymi dotknięci są nasi Rodacy, zmuszeni do opuszczenia własnych siedzilb i gnani na ciężką tułaczkę po świecie, wymaga szybkiej interwencji ze strony Polkiego Czerwonego Krzyża. Pomagamy wszystkim w miarę naszych możności. Niestety, to, co czynimy, jest za mało. Brak zasobów materialnych nie pozwala na rozszerzenie naszej działalności; nie możemy zakupić dostatecznej ilości leków i ciepłej odzieży, tak koniecznej wobec zbliżającej się zimy. Musimy pomagać setkom tysięcy Polaków.

Podejmując więc na nowo swoją działalność, Polski Czerwony Krzyż zwraca się do wszystkich Polaków o poparcie jego akcji.

Polacy, mieszkający w Stanach Zjedn Ameryki Północnej i Kanadzie, zaprzyjaźnione organizacje amerykańskie i angielskie, wreszcie osoby prywatne pośpieszyły już z wydatną dla nas pomocą. Stwarza to atmosferę, w której nasza praca powinna dać jak najlepsze rezultaty.

Winniśmy myśleć nie tylko o Rodakach na obczyźnie, ale i o wielkich potrzebach w Polsce.

Pomoc jednak naszych przyjaciół uzależniona jest od tego, co sami potrafimy stworzyć.

To też apelujemy do wszystkich Polaków, aby wzięli udział we wspólnej akcji pomocy naszym braciom, popierając Polski Czerwony Krzyż.

Licząc na tę pomoc, *Zarząd* Główny P.C.K. wzywa wszystkich Polaków do zapisywania się na członków Polskiego Czerwonego Krzyża.

Włodzimierz Koskowski Prezes.

Alfons Poklewski-Koziełł Wice-Prezes.

Helena Sikorska Wice-Prezes.

Anna Paszkowska Sekretarz Generalny.

Cecylia Raczyńska Skarbnik.

Franciszek Modrzewski Zastępca Skarbnika.

Uwaga: Wysokość opłat wynosi:

1/- członkowie dożywotni—£10 jednorazowo.

2/- członkowie wspierający—powyżej 2/6d. miesięcznie.

3/- członkowie rzeczywiści—1/- miesięcznie.

Żołnierze płacą—4d. miesięcznie.

Młodzież szkolna—6d. rocznie.

Opłaty prosimy składać w biurze P.C.K. 3, Bentinck Street, W.1 w godzinach II—12 i 4-5, lub na rachunek: Polish Red Cross, Lloyds Bank, Limited, 190, Great Portland Street, London, W.1.

WYDAJE WYDZIAŁ PROPAGANDY I OŚWIATY SZTABU NACZELNEGO WODZA.
Adres Redakcji i Administracji: 23 Beaumont St., London, W.1.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clement's Press, Portugal St., Strand, W.C.2.